

„Gniewińskie Pióro 2023”

ALMANACH POKONKURSOWY



Grafika wykorzystana na okładce:
Z archiwum Gminy Gniewino –
Wieża widokowa w kompleksie „*Kaszubskie Oko*”

Redakcja i korekta:
Hanna Grzybowska

Redakcja, projekt okładki i skład komputerowy:
Wydawnictwo MS

Druk i oprawa:
Drukarnia cyfrowa on-line
Białystok

Wydawca:
Wydawnictwo „MS” Wejherowo
Tel. 58 672-51-53

Nakładem:
Centrum Kultury i Biblioteka w Gniewinie
Starostwa Powiatowego w Wejherowie

ISBN
978-83-65092-46-5



PROTOKÓŁ z posiedzenia Komisji XXII OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO „GNIEWIŃSKIE PIÓRO” z dnia 22 września 2023 r.

W dniu 22 września 2023 r. odbyło się podsumowanie posiedzeń Komisji XXII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „GNIEWIŃSKIE PIÓRO”. Organizatorem Konkursu było Centrum Kultury i Biblioteka w Gniewinie, a patronowała mu Rada Gminy Gniewino.

W konkursie wzięło udział 242 uczestników z Polski oraz z zagranicy (Szwecja, Niemcy, Wielka Brytania, Irlandia). Jury oceniło 130 zestawów poetyckich oraz 112 tekstów prozatorskich w dwóch kategoriach wiekowych: dorośli i młodzież. Jedną pracę zdyskwalifikowano.

Komisja w składzie:

Wioletta Majer-Szreder - przewodnicząca, poetka, dr literaturoznawstwa, nauczyciel polonista, **Anna Jastrzębska** - nauczyciel polonista, **Ewa Haberka** - nauczyciel polonista, **Dorota Zadroga** - nauczyciel polonista, **Róża Metz-Szymikowska** - nauczyciel polonista, **Małgorzata Kobiela** – nauczyciel polonista nagrodziła w poszczególnych kategoriach następujące osoby:

• KATEGORIA: POEZJA - DOROŚLI:

- 1 miejsce** - godło „Dyplomowany konserwator powierzchni poziomych”
- Piotr Łaszczycza, Katowice
- 2 miejsce ex aequo** - godło „Logo 1” – Mariola Kruszewska, Mińsk Mazowiecki
- godło „Żeglarz” – Maria Znamierowska, Złotoria
- 3 miejsce ex aequo** - godło „Kalkomania” – Zdzisław Drzewiecki, Biały Bór
- godło „Paradoks” – Piotr Zemanek, Bielsko-Biała

Wyróżnienie

- ⇒ godło „Cisza” – Zbigniew Wróblewski (pseudonim artystyczny), Łódź
⇒ godło „Papilot” – Bożena Kaczorowska, Warszawa
⇒ godło „Czarna polewka” – Mirosław Puszczykowski, Mogilno

Wyróżnienia w formie wydrukowania utworu w almanachu pokonkursowym:

- ⇒ godło „Maciejka” - Małgorzata Borzeszkowska, Wejherowo – za wiersz pt. „Minna”
⇒ godło „Schulz” - Dominika Patrycja Wilk, Maława - „O czym myślałaś”
⇒ godło „Arif Masud” - Wojciech Malinowski, Sopot – „Jeszcze nie mogę”
⇒ godło „A.O.” - Daniel Głowacki, Lublin – „Nocne pociągi” .
⇒ godło „Słoneczna” - Natalia Konieczna, Koszalin – „Testament twój”
⇒ godło „Lu” - Małgorzata Kottowska, Szczecin – „Połączenie”
⇒ godło „Ajra” - Donata Witkowska-Kowal, Starachowice – „Sen”
⇒ godło „Styks” - Mariusz Jacek Rokita, Piotrków Trybunalski – „Atom”
⇒ godło „Carnica” - Artur Boratczuk, Chwarszczany – „Tunel”

• KATEGORIA: PROZA - DOROŚLI:

- 1 miejsce** - godło „Echo” – Edyta Wysocka, Miastko - „Zapisek w pamięci”
2 miejsce - godło „Róża” – Sylwia Panek, Ropczyce
- „Wspomnienie o mojej siostrze”
3 miejsce - godło „Chichotek” – Tadeusz Charmuszko, Suwałki – „Majówka”

wyróżnienia:

- ⇒ godło „Morzajoan” – Joanna Zając, Łaznowska Wola - „Jestem twoim lustrem, mamó”
- ⇒ godło „Maj” – Piotr Kapłon, Olsztyn - „A maj zaczyna się tak nagle...”
- ⇒ godło „Oksza” – Natalia Rej, Lublin - „Tak (nie)wiele rzeczy”

• **KATEGORIA: POEZJA - MŁODZIEŻ:**

- 1 miejsce** - godło „Grechut” – Grzegorz Sobkiewicz, Agatówka, 15 lat
- 2 miejsce** - godło „Mody Gniewny” – Jakub Rębisz, Brochocin, 16 lat
- 3 miejsce** - godło „Nasturcja” – Anna Oleksiuk, Rogoźnica, 14 lat

wyróżnienia:

- ⇒ godło „KaMa” –Karolina Majorowska, Warszawa, 17 lat

• **KATEGORIA: PROZA - MŁODZIEŻ:**

- 1 miejsce** - godło „Santiago de Paso” - Jakub Krok, Węgrzce Wielkie, 17 lat – za opowiadania: „Zagadka”, „Pogrzeb”, „Pomnik”, „Tragiczny los marszałka Neya”
- 2 miejsce** - godło „De” - Grzegorz Roda, Gdańsk, 16 lat - „Dlaczego mamy zjawisko dnia i nocy?”
- 3 miejsce** - godło „Drozd” – Anna Szczepaniak, Ostrowiec Świętokrzyski, 16 lat – „Róża i prawdy życiowe...”

wyróżnienia:

- ⇒ godło „Makua” - Maria Szade, Jaworze, 13 lat – „Pułapka czasu”
- ⇒ godło „Pszczółka”- Zofia Maruszewska, Gliwice, 16 lat – „Córúś”
- ⇒ godło „Onyxia” - Natalia Maślej, Nysa, 14 lat – „Wiśnie i Katsuhiko”

Gratulacje dla wszystkich laureatów XXII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Gniewińskie Pióro” oraz serdeczne zaproszenie wszystkich uczestników do próbowania swoich sił w następnej edycji Konkursu.



Kategoria
- poezja -
dorośli



Piotr Łaszczyca

*Godło: Dyplomowany konserwator
powierzchni poziomych, Katowice*

I MIEJSCE POEZJA

W porównaniu
z antykiem kultura
w dzisiejszych czasach
ewidentnie
upada
w zbyt
małym nakładzie
wydaje się poetów
na żer
bestiom

zadanie z logiki
formalnej

toaleta dla niepełnosprawnych
w bazie lotnictwa wojskowego

w poetyce
taka figura nazywa się
oksymoron

kiedy zabraknie łez
natychmiast
przeleją każdą ilość
sztucznych
światowe koncerty
farmaceutyczne

prezesa korporacji
zapobiegliwie ściubią
w szwajcarskich bankach
drobne sumy
z dywidend i skromnych
prezentów od innych prezesów

honorarium
za wynajęcie
najlepszego obrońcy
na sąd
ostateczny

*** *(jesień nowoczesności)*

w hołdzie Huizindze

gdy opadną ostatnie
maskujące liście
czy pozostanie chociaż
goły szkielet drzewa
drzewa świadomości
dobrego i złego



Mariola Kruszewska

Godło: Logo1, Mińsk Mazowiecki

II MIEJSCE EX AEQUO POEZJA

na urlopie

świt odcedza resztki nocy
zwija czarny dywan i wtyka w niego księżyc
nastaje jasność
tak piękna tak pyszna
że zepsuć ją może nawet cień myśli o przedwczesnym
zmierzchu

doprawdy w taką różową pogodę
nie przystoi umierać
lody piwo ciastka
roześmiani turyści jak kremowa lawa
a tu taki zgrzyt piach w tryby lipcowej kanikuły
i zapach kadzidła w przepychu ogrodowych bukietów

ludzie powinni dostosować się i odchodzić w listopadzie
albo na początku grudnia byle nie tuż przed świętami
trzeba w końcu mieć odrobinę przyzwoitości

śmierć to jaskrawe zaprzeczenie estetyki
i dobrego smaku

pochwała rozumu

wierzę w człowieka rozumnego
w talent jego szarych komórek
do kreacji i kreatywności
w tworzeniu rzeczy wielkich
jak grzyb nad Hiroszimą

ufam ludziom racjonalnym ufającym logice
chłodu i dedukcji
ci nie będą miauczeć pod balkonem lekkomyślnej dziewczyny

ani marnotrawić czasu na pisanie sonetów
dzięki temu stworzą kiedyś lek na starość i silnik na wodę
tyle wieków ewolucji nie mogło pójść na marne

lubię rozmawiać z mędrkami
którzy mocą intelektu
potrafią odróżnić głupca od inteligenta
po sposobie otwierania ust
zanim padnie jakiegokolwiek słowo
uwłaczające pragmatyczności tego świata

człowiek rozsądny doskonale wie
że z natury rzeczy wszystko ma swój koniec
żał także
zdaje sobie sprawę że rozpaczać
jest to zło dodawać do zła
i że kiedyś wróci pogoda i równowaga
na pewno
niech no tylko odejdzie
ta głupia
głupia
miłość

przypis

od autora - to nie ma ze mną nic wspólnego

moja pycha
oskubana
spadając z Parnasu rąbnęła łbem o próg

żona natychmiast przystąpiła do wymiatania domu z pierza
pogwizdując wesoło

tylko jedno pióro zapewne ostatnie z pawiego ogona
wpadło mi w dłoń

może
zszedłszy do podziemia
napiszę nim wiersz

Maria Znamierowska

Godło: Żeglarz, Złotoria

II MIEJSCE EX AEQUO POEZJA

alert

zapomniałam imię chłopaka
który zapytał
czy zatańczę
na tamtych koloniach
pamiętam jego nieśmiałość
zmieszaną z odwagą
i że nasze koszulki
wciąż pachniały
morzem

zabezpiecz rzeczy
które mógłby porwać wiatr
twarze
imiona
wolno płynące
przez nas
przez powietrze
wszystko
co stoi swobodnie
przy podmuchach
czasu

zabezpiecz chwile
które mógłby porwać wiatr
popołudnie z dziadkiem
gdy wiosna uderzała o pokój
prześwietloną bielą
piesek
na plastikowych kółkach
wciąż jeździł po stole
jakby chciał

sobie wyjeździć
małą nieśmiertelność

kręgi

tęsknię
bo za mną tęskniono
czekano na ganku
przy furtce
w jasnym oknie
bloku
sprawdzano na rozkładzie
czy na pewno
jadę

wybaczam
bo mi wybaczano
On wciąż darł
mój list dłużny
rzucił na wichurę
gasił ognie pamięci
w wodach zapomnienia

kocham
bo byłam kochana
gdy miałam
niecały roczek
dostałam zapaści
tata biegł bez skarpet
po głębokim śniegu
w stronę
najbliższej budki
żeby mnie
ratować

pieczęć

zawsze byłam
w dobrym towarzystwie

rzek

jakbym dostała przydział

na wspólną wędrówkę
zapach mokrego piasku
szum
schowanych
traw

czego jak czego
rzek ci nie zabraknie
Wiśła ze srebrem topoli
Drwęca ptaków pełna
tam gdzie płyciej
błyskają głazy
jak kamienne tablice
z powtórką
przykazań

a teraz Oconee
rdzawa od czerwonej ziemi
ze stadem kolibrów
zerwanym do lotu
mieszkali tu Indianie
łapali
ryby w wiklinowe kosze
daniele
w okolicznym lesie

co wcześniej
nie wiadomo
jakby każda rzeka
miała swój początek w baśni
wypływała ze źródła
zza siódmej pieczęci
wygnana ze świętego gaju
tak podobna
do nas

Zdzisław Drzewiecki

Godło: Kalkomania, Biały Bór

III MIEJSCE EX AEQUO POEZJA

Powoli w śniegach niegdysiejszych brodę
Ikona matki nade mną schyłona
Swoją wdowi grosz mi w rękę wciska
 Jak w testamencie starego Villona

I znów karnawał psem się łasi
O pieniądź złoty sytość w kioskach
Na piersiach Margot sen mnie morzy
 Jak w testamencie starego Franciszka

Już gawieź pianę toczy z gęby
Gdy ruda Margot swe ramiona
Obnaża z sukni karminowej
 Jak w testamencie starego Villona

Rychło uchodźmy od ladacznic
Którym już wódka łyżę wyciska
I od błyskotki srebrnej noża
 Jak w testamencie starego Franciszka

Piosenka o chłopcach od Bruegla

dokąd poszliście chłopcy od Bruegla
w swoich spodenkach co wciąż są przykrótkie
jaką wam przyszłość wywróży cyganka
kto dzisiaj chłopcy postawi wam wódkę

giniecie pod czarną nocą opończą
gdzie dziwka gra w kości z prorokiem
gdy odbywa się mały karnawał próżności
pod policmajstra czujnym okiem

jaki złoty pieniążek być może ostatni
chowacie za rąbek koszuli znoszonej
na jakim dziś kursie przyjdzie wam płynąć
w szukaniu świata siódmej strony

ile ognia w was jeszcze się zdąży wypalić
w ilu przyjdzie po usta brodzić wam śniegach
nim krzyżem padniecie na progu swych marzeń
i wichur zakryje ślad wszelki po zbiegach

gdzie się teraz podziąć wam przyjdzie
gdy już z płócien flamandzkich znikniecie
czy ktoś was zechce wysłuchać w skupieniu
czy ktoś was kiedyś pozbiera po świecie

a wy ciągle cali w zaklęciach i mrzonkach
o runie na wskroś szczerozłotym
a jesień już liście maluje na drzewach
listopad sine zaciąga już słoty

dokąd biegniecie chłopcy od Bruegla
z patykiem na kółku blaszanym
w butach podartych i z duszą w łąty
czyj śpiew w przedświcie was zmamił

może się któryś z was jeszcze zatrzyma
choć odbiegliście tak bardzo daleko
i tylko sobie znanym sposobem
powróci na starą ulicę gdzie czekam

Piłem wódkę pod śledzia w gronie chromych rycerzy
Psy wołały z daleka głód obnosić w swych pyskach
Dobrze czując że łatwo gnat połamać gdy w czterech
Przy gorzale do późna wyprawiamy igrzyska

Oręż w kącie lśnił krwawo rany stygły na ciele
Końskie chrapy w obroku zanurzały się w sytość
A za oknem noc cichła Pod drewnianym księżycem
ktoś w zaułku się modlił o czyjś powrót i litość

Kiedy wódka nam we łbach sens do reszty mieszała
Posnęliśmy na stołach i na ławach gospody
Aby rankiem brać oręż i konie kulbaczyć
Aby wojna znów mogła krwawe zbierać jagody

Ech rycerze spod gwiazdy ciemnej jak głębia piekieł
Która was opętała blaskiem swym ponad miarę
W szkarłatnej krwi brodząc życie swoje dajecie
Nie wiedząc nawet jakim bogom na ofiarę



STANY OSOBLIWE

Selekcja negatywna

gasisz ekran. boimy się stąpać po kruchym lodzie. to tylko rozmowa
ale mogło by się wydarzyć coś naprawdę. przykładam ucho do tafli,
nasłuchuję ciemnej wody, uderza w lód jak krew w pancerz skóry.
papier namaka i wysycha. wiersze to już historia, wsiąkasz w prozę.
odwracam się od zgaszonych okien, a wszystkie obrazy idą za mną.

była we mnie latarnia, jak ty zabłysła światłem, którego nie znałem.
ono mnie odmieniło. długo patrzyłem w jego białe źródło, żeby w nie
uwierzyć. był we mnie nowy świat. teraz wracam do starych lamp,
żeby się znów do niego zbliżyć, poczuć tamtą przestrzeń, chwilę.

kiedyś otwierałaś każdą wiadomość z lękiem, bojąc się słów, które
mogłyby zamknąć drzwi. teraz zamknęłaś książkę bez zakładki,
wiersz nie będzie już kołem ratunkowym. mówisz, że potrzebujesz
czasu, żeby poskładać klocki, złożyć układankę emocji, poczekać
co się zdarzy. patrz, zegar stoi – najwyraźniej wybaczył ci kłamstwa.

Osobliwości

otwierałem twoje usta językiem. był jak klucz do wierszy
czekających we mnie. miękkich wodowań statków w cichej
zatoce i koralowych jaskiń, w których można je usłyszeć.
odkąd stoję na brzegu, przysłuchują mi się flanelowe słowa.

żeby lirycznie nagie zabrzmiały jak aksamit, potrzebne są
dwa ciała. jedno musi być głodem a drugie zwątpieniem.
znam takie słowa, płynęły rzeką, teraz trafiły na kamień.
bezsłowny, uśmierca je robiąc reset niedosłownych relacji.

żeby słowa stały się ciałem, trzeba zanurzyć w nim język.
niech stanie się strumieniem – kamień obejmą ciche wody.
wtedy popłynę przez nie w cielesny opór warg, z nadzieją
wkładając szorstkie głązy pod skórę. powierzając je rzece.

Testament

chcesz przygotować mnie na to, co może się wydarzyć. noc
może nas zaskoczyć zupełnie inna niż ta, którą dobrze znamy.
w białej pościeli zamiast bram rajy otworzy się ciemna czeluść.

w szafie powiesiłaś czarną sukienkę, woalkę, czarne pantofelki,
na tę szczególną okazję, żebym wiedział co mam ci dać na drogę,
w tę podróż beze mnie i nie włożył czegoś niestosownego.

nie znam się na modzie, ale wiesz, że nie chciałbym cię zawieść.
starasz się wybawić mnie z kłopotu, dlatego zawczasu robisz
spis rzeczy, o których mógłbym potem nie pamiętać, zapomnieć.

martwisz się, czy zadbam o siebie, żebyś nie musiała się wstydzić.
bardzo się o mnie troszczysz. w lodówce zostawisz dla mnie
wczorajszy obiad. bez ciebie – wystarczy mi na dwa dni.



Zbigniew Wróblewski

(pseudonim artystyczny)

Godło: Ciska, Łódź

WYRÓŻNIENIE POEZJA

czy to Ty prowadzisz nas do gazu
wiemy co wyczyniałeś z niewinnym Hiobem
czy ktoś z nas jest od niego lepszy czy można za niedoważanie
 mąki karać tak surowo
i pozostać sprawiedliwym

przecież wygubiłeś dzieci Hioba
nie licząc wielbłądów i osłów
powiedziałaś sprawdzam
dla zabawy by popisać się przed szatanem

czy jesteśmy wybrakowaną partią pajacyków
wycofaną z obiegu
bo feler kłuje Cię w oczy

Hiob mówił
On i prawym zamknie usta, mam słuszność, a winnym mnie uzna.

krzyczycie Pan nie może zrzucić bomb na obóz
bo ma na uwadze życie więźniów
i sami czujecie pypeć kłamstwa na języku

wystają z nas nieprzydatne strzępy Bożego słowa
z których natrzęsa się kapo
przykazania prowadzą do zguby
regulamin nie chroni przed karą
jedynie na chwilę
największa podłość ratuje życie
syn bije ojca

potem stary umiera
i kapo żąda nowej zabawy
życie bliskich warte jest miskę wodnistej zupy
och gdyby chociaż z dna kotła
można byłoby to zrozumieć

noworodki mogły być przydatne do eksperymentów
jako kapo kostnicy miałem za zadanie
zanieść żeńskie ciała
na obóz kobiecy
żeby w ewidencji się zgadzało
długie numery były tatuowane na nóżkach

gdy tak sobie szedłem
zastąpił mi drogę esesman
myślał że szmugluję
ale uspokoił się
gdy w worku znalazł same trupy

Jak się ustawić

gdy wrzucano gaz
wybuchła panika
ludzie walili pięściami w drzwi
darli się jak zwierzęta w rzeźni
tratowali słabych i dzieci
granulki uwalniały gaz po otwarciu puszek
ci którzy stali bliżej
wdychali śmierć jako pierwsi
w czystej postaci
przechodzili ceremoniał
krwawienie z nosa
wydalanie i torsje
to zdrowe naturalne reakcje
silniejsi czując co się święci

rzucali się bliżej drzwi
żeby złapać haust niezatrutego powietrza
należało podeptać innych
wdrapać się jak najwyżej po ciałach

łatwo jest oceniać
w komorze chciałbym znaleźć w sobie tyle siły
by nosiciele zwłok
znaleźli mnie na dole



Bożena Kaczorowska

Godło: Papilot, Warszawa
WYRÓŻNIENIE POEZJA

Było w Małgorzacie kilka osób naraz

Normalni ludzie nie piszą wierszy, – tak mówiła
Małgorzata mieszając kaszę w zupie i bijąc
kotlety na obiad. A jej włosy niczym pudelki
podskakiwały na smyczy wałków.

Uważała, że poezja, to tylko pastylka na chorą duszę.

Zawsze jest jakiś ołtarz i jakiś święty, dla którego
ktoś będzie gotowy poświęcić duszę. I, że ścieżki
poetyckich szlaków wydeptano już dawno,
a teraz tylko chodzimy po śladach.

Twierdziła, że nie należy przywiązywać się

do kury, którą i tak trzeba będzie zjeść na obiad.
Nie znosiła, gdy gubiłam parasolki i kontakt
z rzeczywistością. Próbowwała poskładać mi życie
i wierzyła, że ma receptę na każde zmartwienie.

Ale było w Małgorzacie kilka osób naraz.

Bywały dni, kiedy stawała się twarda jak skała.
Odległa, niczym gwiazda do której trudno było
dotrzeć. Może sprawiły to puste pokoje, a może
kółdra, której nie miał już kto z niej zedrzyć.

Lecz coś się kruszyło w niej kawałek po kawałku.

Robiła się wtedy miękka. Ocierała ukradkiem łzę,
gdy myślała, że nikt nie widzi. I zamyślała się
długo stojąc przy oknie.

Jest miłość, która uskrzydla, i taka, która ściąga w dół.

Na Jowisza! Kończą nam się światy, obumiera
słońce! I te wszystkie burze magnetyczne,
które robią nam *koło pióra*...

A przecież ludzie są jak rzeka.
Wszyscy płyniemy do ujścia.

Dziki owoc

Jesteś kobietą i nosisz pod sercem
nowe życie. Chcesz urodzić *święty spokój*,
lecz oni będą chcieli zabrać go na wojnę,
nauczą zabijać.

Nie chcesz tego!
Masz przeciwko światu
tylko ten brzuch.

Czekasz aż z figi wyśliźnie się
pestka. Usłyszysz pierwszy krzyk
i przytulisz ten krzyk do piersi.

Pragniesz tylko zasiać miłość
i uprawiać życie. Masz w sobie
śmiałość, która obudzi instynkt natury.

Całkiem Nowy Świat

W muzeum Wojska Polskiego
czteroletni Szymon po raz pierwszy
widzi samoloty i przeciera oczy ze zdziwienia.
Przy jego wzroście są niewyobrażalnie duże,
jak również czołgi na gąsienicach, które przypominają
mu o wojnie na Ukrainie. Widział je dotąd tylko
w telewizji, gdy najeżdżały ukraińskie miasta.
Mówi z przejęciem, że jeśli na nas napadną
Rosjanie, to też uciekniemy z Polski!

Ale dokąd? – pytam zdziwiona.
No! Na Ukrainę! – odpowiada całkiem serio.
Bo tak serio potrafi powiedzieć tylko czterolatek,
który nie ma wyobrażenia, ani o wojnie, ani o sile
rażenia bombowców, którymi teraz tak się zachwyca.

Biega z aparatem, robi zdjęcia, żeby pokazać:
mamie, tacie i siostrze, jakie mają działa!
Jakie skrzydła! Śmigła i wyrzutnie!

Po raz pierwszy widzi też palmę w Al. Jerozolimskich.
I nie może uwierzyć, że jest sztuczna. Wygląda przecież
całkiem jak żywa! Ma mętlik w głowie, gdy dowiaduje się,
że prawdziwe palmy nie rosną w naszym klimacie.

I ja mam mętlik w głowie gdy mu to tłumaczę,
zwłaszcza, że sama nie rozumiem, po co ona tam
stoi. Ale dla niego wszystko jest nowe,
jak *Nowy Świat* za plecami.

Oddycham spokojnie, bo wiem, że gdy wróci
do domu. Cały i zdrowy. Zje ciepłą kolację
i być może popłacze się przed nocą, że nie obejrzy
swojej ulubionej bajki. Najbardziej cieszy mnie fakt,
że będzie to jego jedyne, dziecięce zmartwienie.
Zaśnie bezpieczny w ramionach mamy
czytającej mu do poduszki.

Upał wisi na włosku

Pragniemy burzy,
bo zawsze pragniemy tego
czego nie możemy mieć.

Płatki kwiatów sypią się w zgrzane lato.
Lepią się do siebie krople potu jakby chciały
namnożyć się w jakimś celu.

Tasujemy dzień talią rozsypanych nasion.
Są gotowe poddać się prądom powietrza
i dryfować z wiatrem byle się zakorzenić.

Kupię ci las. Kupię rzekę .Cały świat rzucę
dla ciebie, tylko obiecaj mi słońce,

że nigdy nie zgaśniesz.

Wykراكały

Psy szczekają całą noc. Jakby chciały
oszukać nagromadzoną w sobie rozpacz.
Na szyjach świeże ślady po łańcuchach.

Przełykam łzy, przepraszam je za człowieka.
Schronisko, to nie jest dobre miejsce dla nich.
Wgryzają się w moje myśli i wyją mi pod czaszką.

Czuję się tak, jakbym była zamknięta w klatce,
razem z nimi. Liżę rany i zimne, chropowate pręty.
Chcę (jak one) przekonać świat, że i ja, umiałabym
jeszcze pokochać. I być komuś wierna jak pies.

Przy schronisku gromadzi się stado wron. Zwabia je
brzdęk psich misek. Przeskakują przez pręty i kradną
psim sierotom świeżo nasypaną karmę.

Nie boją się niczego spryciary. Tylko one
przecisną się na wolność przez kraty.



Miroslaw Puszczykowski

Godło: Czarna polewka, Mogilno

WYRÓŻNIENIE POEZJA

Opowieści lasu

najlepiej pójść do lasu o poranku
nasycony jest on teraz zielonością
ptaki nabrały siły głosu i barwy
można tu oprzeć się o stare drzewo i pomarzyć
las wydaje się taki spokojny pełen tajemnic
wypełniony kwileniem śpiewem stukaniem
nad głową dęby jesiony buki rozmawiają po swojemu
czuję cichy przepływ życiowych soków

niekończące się dukty zapraszają w nieznane
każdy skrywa swoją opowieść kiedy rosły tu inne drzewa
przechodzili inni ludzie ptaki też rozmawiały inaczej
stare pnie opowiadają o swoim końcu żywota
wypalone połacie lasu mówią o bezmyślności
częściowo wyschnięte jezioro wspomina
o czasach świetności kiedy pływały po nim żaglówki

z ukrycia podglądają mnie zwierzęta
czuję je słyszę patrzymy sobie w oczy
przechodzący leśniczy liczy kolejne drzewa
oznacza czerwoną farbą źle mi się to kojarzy
ptaki w gniazdach obserwują zielonego gościa
patrzą czy nie oznaczy ich domu pod topór

Tęsknota

znowu zatęskniłem za tym miejscem mój Panie
gdzie dom przylepiony do wierzby
na nim gniazdo bocianie co szczęście przynosi

na czarnej równinie zboże gęsto rośnie
po zielonej dolinie pasą się konie
na końcu wioski drewniany kościółek
pod wielkim dębem ksiądz pisze wiersze
trochę dla Boga trochę dla siebie
ubiera piękne widoki w słowa

polubiłem ten deszcz co uderza w kamienie
wiatr co we włosach rzeźbi tunele i milknie
z komina dym do niebios się unosi
stukot kół i końskich kopyt gra wiejską arię

malwy podtrzymują brzozy pług
chabry i maki polne malują okolicę
pod figurą Matki Boskiej śpiew majowy płynie
zapach bzu zalewa okolicę

zmarszczki coraz głębsze a pamięć wciąż żywa
za tym miejscem wciąż tęsknię mój Panie

Dzień powszedni

do miasta wlewa się strumień samochodów
szumi łoskocze niczym ten górski
tyle że czuć spaleniznę
przechodnie niczym chirurdzy w maskach
na skrzyżowaniu policjant udaje baletnicę
puszcza oko do kierowców płci przeciwnej

w parku na ławkach obłączenie od samego rana
ci z noclegowni z wyprawkami na cały dzień
zdenewrowane ptaki robią co mogą by ich oznaczyć
zawzięcie atakują jak te Hitchcocka
kiedyś wszyscy mieli pracę i o spanie nikt się nie martwił

wędkarz optymista przysiadł na brzegu i kusi ryby
a wie że przed nim inny kusił i nic

obok malarz rozkłada sztalugę
będzie malował klasztor i jego odbicie w jeziorze
póki jaszczke pozwala jego poziom
tu czas ani pogoda nie mają znaczenia
na tych którzy uwierzyli biją dzwony kościoła



Małgorzata Borzeszkowska

Godło: Maciejka, Wejherowo

WYRÓŻNIENIE W FORMIE DRUKU

Minna

Minna umarła po szóstym dziecku, szybko poszło - tylko 27 lat
rodziła łatwo i szybko,
szybko rozwijała i podlewała sobą gruźlicę
galopowała z nią na grzbiecie
wprost na ten pagórek w Świetlinie, otoczony wysokimi drzewami -
sto lat temu były jeszcze nieduże
ale cień rzucały ostateczny
mogła nakryć się nim Minna od dzieci i Ernsta -
umarł
w Lęborku otrzewna mu się zapaliła, mówiły dzieci, pewnie mówiły
inaczej, pewnie po niemiecku, pewnie już potem nie mówiły

Minna umarła, listopadowa Minna
mały Willy przeżył dwa miesiące
sturlał się w drzewny półmrok
teraz spod ziemi wydobywać trzeba ich historię spisaną na bazalcie
złotymi literami
o czym zaświadcza pięcioro sierot z Wiesenthal - pechowej kołyski
widmowej kołyski dla gruźliczej śmierci
i sołdackich gwałtów
ale o tym kiedy indziej

cienie urosły, przerosły drzewa i otulają listopad
Minny spod Świetlina



o czym myślałaś

o czym myślałaś w tamtej chwili
kiedy na szybko wzięłaś spakowane torby
i dwoje dzieci za ręce
czy o nim, którego przemoc była
tak straszna, że nie spodziewałaś się
czegoś takiego jak wojna
czy o tym, że teraz to on będzie
walczyć o przetrwanie, a ty
skorzystasz z okazji, by uciec
i może ta podróż będzie najlepszą
z waszych podróży, albo i nie
może myślałaś o tym
że wczoraj na wystawie
widziałaś piękną żółtą sukienkę
w sam raz na spacer
a może o tym, że twoja małeńka
córa nie dokończyła rysunku
na plastykę i co teraz będzie
może dzieci naprędce jadły
bułki, a ty myślałaś
że na obiad miałaś gotować zupę
żeby było na dwa dni
może przypomniałaś sobie rozmowę
z kuzynką o jej zaręczynach
i zastanawiałaś się
czy jeszcze kiedyś się zobaczycie
albo o tym, że boisz się
tak po prostu, bo nie wiesz
czy zaraz świat się nie skończy
może myślałaś, że trudno

jest myśleć w takiej chwili
kiedy syreny zagłuszają kroki
ale trzeba się zmusić
i zdecydować, w którą iść stronę



Wojciech Malinowski

Godło: Arif Masud, Sopot

WYRÓŻNIENIE W FORMIE DRUKU

jeszcze nie mogę
przespacerować się po tęczy
spojrzeć w oczy białemu orłowi
rozpłynąć się w porannej mgle
nieskończonością fal rozbijać się
o tysiące brzegów, z pszczołami
zbierać kwiecistego nektaru
płynąć z energią życia w liściu
bawić się z atomami

jeszcze przywitam jesienne
deszcze, smutki, rozterki

jeszcze dam czas czasowi, pozwolę
by odgrywał swoją rolę życia
by przyniósł to, co ma się wydarzyć
by nieopatrnie nie ominęło mnie
żadne doświadczenie

jeszcze przez chwilę, oczami czasu
będę spoglądać na świat



Nocne pociągi

Nocne pociągi na niebie bez gwiazd
Długim szeregiem ciągną wagony
Tor zarośnięty wiedzie przez czas
Do wielu stacji dni zagubionych

Wklejone w okna podróżnych twarze
W widocznym za szybą mroku odbite
Patrzą w krajobraz mijanych zdarzeń
Liczące słupów chwile przeżyte

Ktoś gdzieś wysiada musi pozostać
To jego stacja i jego czas
Widać w oddali samotną postać
Nocne pociągi na niebie bez gwiazd...



Natalia Konieczna

Godło: Słoneczna, Koszalin

WYRÓŻNIENIE W FORMIE DRUKU

Testament twój

Powiedz mi jakiś wiersz
mówi do mnie
moja mama

W tej chwili
choć w głowie mam setki wersów
może tysiące
szukam nerwowo
choć jednego

Dlaczego akurat wtedy
pojawia się tylko ten

żyłem z wami
cierpiałem i płakałem z wami

Czemu nie pamiętam
że dzikie czereśnie rosły na wiotkich gałęziach
albo
w tej jak ją trochę zwano na wyrost altanie

lub chociaż
jesteś piękne mówię życiu

Może dlatego
że przy tym mechanicznym łóżku
z dyszącym aparatem tlenowym

kiedy trzymam jej papierową rękę
i dotykam siwych, splątanych włosów

rozumiem
że to chyba nie jest miejsce na poezję
a na pewno nie na taką

jesteś a więc musisz minąć
myślę
i zamykam usta

13.06.2023



Małgorzata Kotłowska

Godło: Lu, Szczecin

WYRÓŻNIENIE DRUKIEM

Połączenie

Połączenie wychodzące
na aparat z tarczą,
który głośno cedzi słowa
przez słuchawkę trzymającą gładko
sękatą dłoń.

Połączenie z okazji
(raczej nie przy okazji)
więc zdrowia, zdrowia
i raz jeszcze zdrowia
i co słychać.

Ano powoli, po staremu.
W kościach łamie jak przed burzą,
odzywają się lędźwie i stare urazy,
a ja na to łykam proszki,
leki osłonowe na wątrobę,
choć i tak wychodzi bokiem, plamami
po przeguby; wysoki poziom OB,
lekarze wciąż szukają przyczyny
i zapraszają ponownie, a jeszcze krew
utajona w moczu i na sen nasenne
środki, gdy zawiodą zostaje modlitwa,
na szczęście pamiętam jeszcze wiele
słów.

Co poza tym, to cieknąca spłuczka
tasiemiec na Jedynce o zdrajcach ojczyzny
i promocja z Lidla, to mądry wybór;

czasem list ze spółdzielni,
że z poważaniem, że podnoszą czynsz.

Wiesz, tak naprawdę, to trzymają mnie
pelargonie, surfinie za oknem
i morena z naroślami lasu,
za nią podobno wciąż szumi morze.

Przyjedź. Posiedzimy. Popatrzymy.



Donata Witkowska-Kowal

Godło: Ajra, Starachowice

WYRÓŻNIENIE W FORMIE DRUKU

Sen

otworzyłam oczy
zajrzał w nie strach
przed samotnością
chorobami i starością
w pogodnej przystani
w skrócie DPS
boję się bezradności
wstawania na sygnał
zасыpania po tabletkę
kręcenia bukietów z bibuły
oglądania występów
z okazji geriatrycznych świąt
nie lubię kiczowatych laurek
wolę obrazy Salvadora Dalego
zamykam oczy
rozpływam się w farbie
widzę jak płonie sawanna
w popłochu uciekają słonie
wyprzedzają je gepardy
tylko żyrafy podniosły szyję
wysoko ponad akacje
czekają na mnie



Mariusz Jacek Rokita

Godło: Styks, Piotrków Trybunalski
WYRÓŻNIENIE W FORMIE DRUKU

Atom

rozczerpione jądra i kręgosłupy
(cierpiąłem w łonie)

trwał Wyścig Pokoju
prześcigani się (w blokach)
w budowaniu bloków

*- ile razy w Czarnobylu uwolnił się RAD
mamo?
- raz a dobrze, synku...*

Raz

A

Dobrze



Tunel

Ten tunel
o którym mówią umierający
że prowadzi do innego świata
innego życia
ten sam na którego końcu
czeka postać w aureoli jasnych promieni

to wspomnienia

wieczność w wodach płodowych
przez skórę matczyne brzucha
prześwituje
różowe światło
jakby wpadało przez witraże
do wnętrza kościoła

narodziny
oczy oślepione terażniejszością

kształty
kolory
blask
niewyraźne sylwetki
pochylające się nad łóżeczkiem

wspomnienia
które wskrzeszają

Kategoria
- proza -
dorośli



**ZAPISANE W PAMIĘCI
CZYLI O RADOŚCIACH I SMUTKACH
POWOJENNEGO DZIECIŃSTWA**

Jest we mnie mały dzwonek, który od czasu do czasu budzi echa mojego dzieciństwa. Odśłania odległość zdarzeń małej, kaszubskiej wioski, rozsypanej między zagajnikami i polnymi drogami...

Co w sercu, w głowie i z przekazu mamy:

W roku czterdziestym piątym nasze życie było czekaniem. Dziadka, ciocia Zosi, siostry Ani, moje i naszej mamy – całej w prośbach różańcowych o powrót taty z wojny. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że „od Andersa” nadejdzie list z czarną obwódką.

Wokół nas okaleczone chałupki i niebezpieczne zakamarki gruzowisk. W głębi studni, zamiast wody, włochate pająki i duchy poległych żołnierzy. Dziadek nie pozwalał nam – dzieciom tam się zbliżać, bo „złe lichy wciągnie na dno”.

I tak w powojennym pejzażu pomorskiej wioski snuło się nasze niepewne życie, aż...

Aż któregoś dnia w naszym domu pojawili się bardzo źli ludzie. Było ich dwóch w „kacapskich” mundurach. A tu mama bez taty, my dwie zaledwie kilkuletnie, ciocia Zosia też prawie dziecko i dziadek, już bardzo stary. Podchodzą te „kacapy” do okna i strzelają. Dla zabawy. Ot, tak sobie wybijają nam dziury w szybach. Jedną po drugiej. A ten wąsaty żołdat zbliża się do małej Ani, sadza ją sobie na kolana i kusi wyciągniętą z kieszeni grudką siniego cukru: - *Bieri, bieri diewoczka. U mienia w familii toże maleńkaja doczka...* Ania płacze, mama truchleje, a żołdat dalej – *doczeńka, ty mienia nie bojsa. Ja choroszyj. Ja kak twój papa. Waźmi sachar, on wkusnyj...* I hardo do mamy – *Haziajka, dawaj kuszać, skariej, skariej...*

Mama w popłochu smaży jajecznicę z ostatnich jajek na resztkę słoniny. A oni?... Już obaj w komórce... I – to jeden, to drugi gwałcą naszą ciocię Zosię. ... Wysłała milcząca, prawie naga, z twarzą zaciętą, a na policzkach tylko dwie łzy.

Kiedyś, po czasie, mama powiedziała, że tamtego dnia w naszej cioci coś pękło na zawsze. Ciocia Zosia była ładna, lecz nigdy nie wyszła za mąż. Umarła młodo. Śmierć oszczędziła jej dzisiejszej powtórki z tamtych czasów.

Im dłużej żyję, tym bardziej tamto we mnie:

Wigilia czterdziestego siódmego roku. Szarówka grudnia. Lekko prószy śnieg. W małym, oszroniałym oknie ja i Ania. Czekamy na pierwszą gwiazdkę. Od choinki i torfowego piecyka rozchodzi się kojący zapach lasu. Na świątecznym drzewku błyszczą poniemiecki anioł. Dziadek znalazł go na strychu. To prawdziwe чудо. Ma złote włosy, a z tyłu jakąś śrubkę. Jak mama nią pokręciła, to anioł rozśpiewał się na cały dom. Szkoda, że po niemiecku, ale i tak ładnie. Zupełnie jak ta pani w naszym kościółku przy organach. A tak głośno, że na choince rozkołysały się wiszące jabłuszka. Dziadek potajemnie przechował je w ciemnej komórce, żeby były na święta.

Cieszymy się. Jest Boże Narodzenie. Ja i Ania po świątecznej kąpeli. Bo dziadek już wcześniej w balii od prania przygotował nam ciepłą wodę z gałązkami jałowca, a mama namydliła nas pachnącym, zagranicznym mydłem. Kupiła je okazynie od takiej pani, która wszystkim handluje.

Śpiewamy głośno „Lulajże Jezuniu”, pachnie świeżo pastowana podłoga, kuszą czerwone jabłka na drzewku i landrynki w błyszczących papierkach. Na gałązkach palą się świeczki. Są zupełnie nowe, prosto z pudełka. Migoczą wśród gwiazdek i łańcuszków, wyklejonych rękami naszej cioci Zosi z kolorowych papierków i mąki zmieszanej z wodą.

Wciąż czekamy na prezenty, bo jeszcze dzieciom pod choinkę zaglądać nie wolno. Dopiero po opłatku. A tam szalik dla mnie i ciepła czapka, a dla Ani kolorowy sweterek. Wszystko ze starej sprutej wełny, potajemnie wydziergane rękami mamy. Późnymi wieczorami, gdy jeszcze ciepły piec, a my już śpimy. Są też pod choinką czekoladki. Prawdziwe. Dla każdej z nas po całej tabliczce. Od wujka z Anglii przysłane.

Zaraz po opłatku i smażonych uklejkach, które dziadek złowił w przerębli „na kiwajkę”, rzucamy się na swoje czekoladki. Ale pyszne. Z rodzynekami.

Są święta. Jesteśmy razem. Cieszymy się tak, jak tylko dzieci to potrafią. Azor drzemie pod stołem, przy piecu dziadek pyka fajeczkę, a mama i ciocia Zosia cichutko proszą Boże Dzieciątko, żeby nam oddało tatę z wojny, bo wciąż do nas nie wraca

Bywa, że jest się z człowiekiem, który w naszym życiu jest okropnie ważny:

Mojego dziadka znałam krótko. Mama często mawiała, że to rodzinny bohater. Prawy i odważny, a jego bohaterstwo tragiczne. I chociaż nie malowano mu portretów, i nie pisano o nim w książkach, to nigdy wcześniej nie poznała kogoś tak pięknego w środku. Ja i moja siostra Ania, wtedy jeszcze małe, niewiele z tego rozumialiśmy.

Któregoś dnia, roku pięćdziesiątego drugiego, dziadka ponieśli na górkę. Bliżej nieba, mówili, bo zasłużył. Pamiętam, że zaraz za trumną szła mama i ciocia Zosia, a my, dwie małe, z tyłu. Za nami ciągnęła niemal cała kaszubska wieś.

Nasz dziadek, jak żył, często siadał na ławeczce pod naszym domkiem i opowiadał. O wojnie, o krzywdzie ludzi zepchniętych przez złe czasy. Mówił o życiu trudnym, łatwym, nijakim i, że za wszystko co człowiek zrobi, lub czego nie zrobi, sprawiedliwie osądzać będzie Bóg. Tak to tłumaczył – mnie i Ani. Słuchałyśmy go, słuchałyśmy, ale wtedy nie miałyśmy pojęcia o czym to dokładnie jest.

Dzisiaj swoją śmierć dziadek ma dawno za sobą. I niedokończoną historię. Po latach obie wiemy, że na tamte ciężkie czasy, wybrał życie trudne. Patrzę na rysunek mojej małej wnuczki. Na tle błękitu łąka, motyle, stokrotki... Na gałęzi czarny kos z żółtym, szeroko otwartym dziobkiem. I jakbym słyszała jego czysty śpiew. Tyle tu wolnego świata. Skąd to się w dzieciach bierze?

Po latach. Kartka wspomnień:

Kiedy skończyło się dzieciństwo? Ze śmiercią rodziców. Bo najlepiej było siedzieć przy mamie, przytulić się, rozpłakać... Ona tak często się uśmiechała. *A teraz takie inne to życie.*

A tam, zaraz po wojnie, wędrowni po gruzach, zasypane mieszkania i my, powojennie ściśnięci w jednym pokoju, ale bogaci w swoje cztery ściany.

O czym marzyłam jak miałam osiem lat? O domku na drzewie. Zabierałam ze sobą wszystkie swoje poruszenia, wchodziłam na starą jabłoń, dotykałam nieba i tam nabierałam odwagi.

W tamtej codzienności była pewna niezwykłość. Jakby przestrzeń łatwej radości. O wiele piękniej i mocniej odbierało się jej barwy. Co dnia otwierały się drzwi przedziwnych ścieżek swobody. A my, wtedy, niczym pierwotne w swej beztrosce dzieci, nie znałyśmy nawet brzydkich słów. Ścieżki o wschodzie, kasztany, szyszki, żołądzie... Że mrówka idzie... Że jakiś ptaszek... Że listki

na wodzie płyną. Była też taka leśna polana kwitnących maków, a na niej zaczarowany świat. Prawdziwa mistyka tamtej codzienności...

Ale to dawno minęło. Jak smak ostatniego przytulenia mamy. Kiedyś wszystko to miałam, lecz dni oddalił czas. Ludzie odeszli, zostały miejsca i nikłe resztki w głębinach szuflad z zapachami rodzinnych wspomnień... I stare sepiowe fotografie. Urywki zatrzymane na kliszy. Chwile muśnięte echem tamtych czasów. Jakby zbierają się, podchodzą, patrzą...

Lecz twarze ich nieruchome, zastygłe.



Wspomnienie o mojej siostrze

Dzięki wspomnieniom, Ci, którzy odeszli, wciąż żyją w naszej pamięci. Zamysłam się... Znów jestem sześciolletnią dziewczynką z cienkimi warkoczami. Siadam na brzegu łóżka, na którym jest moja siostra. Uwielbiam spędzać z nią czas popołudniami. Kładę głowę na jej bezwładnych kolanach, przytulam się do niej, a ona delikatnie jak motyl dotyka palcem moich włosów i opowiada fantastyczne historie o krasnoludkach, z którymi w nocy rozmawiała. To wspomnienie, jak bumerang, wraca do mnie często, ale i daje mi ukojenie w trudnych chwilach. Dziś, po ponad czterech dekadach, wciąż pamiętam jej ciepły głos i dziękuję Bogu, że mogłam ją poznać – moją ukochaną siostrę, która już odeszła kilka lat temu, a której tak mi dziś brakuje...

Chcę o niej opowiedzieć, bo była wyjątkową, niezwykle inteligentną kobietą, *urodziła się bowiem po to, żeby poszukiwać*. Przeglądałam stos zdjęć, tych starych czarno-białych i tych nowszych kolorowych, na których są jej przyjaciele, znajomi, rodzina i Ona – prawie zawsze uśmiechnięta, czasem z zadumą w oczach. Wiele z tych fotografii po latach pokrył kurz, są stare, wyblakłe, zamazane, ale z każdą wiążą się niepowtarzalne wspomnienia. Te wszystkie zdjęcia są kalejdoskopem życia tej niezwyklej osoby, która uparcie dążyła do wyznaczonych sobie celów, *zimnym wiatrom i drwiącym głosom na przekór*.

Elżbieta od urodzenia zmagająca się z wrodzoną, postępującą chorobą zaniku mięśni, które powoli odmawiały jej posłuszeństwa, jako dorosła kobieta mogła wykonywać tylko niewielkie ruchy głową, ale to nie przeszkodziło jej cieszyć się każdą chwilą i doceniać jej wartość. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek mówiła o swojej chorobie i skarżyła się, że jest jej ciężko. Żyła z nią tak, jak potrafiła najlepiej, przekuwając swoje cierpienie w coś wyjątkowego, otwarta na drugiego człowieka. Zawsze walczyła, nigdy nie pozwalała sobie na chwilę słabości. Dzieciństwo i wczesną młodość spędziła na wsi, często samotna, ponieważ dzieci niechętnie bawiły się z dziewczynką na wózku. Jej wspomnieniem z dzieciństwa był widok z okna na drzewo, którego gałęzie zmieniały kolor wraz z upływem pór roku... Ale dorosłe życie związała z Krakowem, miastem wypełnionym piękną historią. To tutaj zdobyła wykształcenie teologiczne na Papieskiej Akademii Teologicznej, ale też poznała cudownych ludzi, którzy po-

magali jej dotrzeć na zajęcia: *Bóg chyba nie mieszka w niebie, Jest w oczach tych, z którymi dobrze się idzie*, pisała o nich po latach w wierszu Październikowy wieczór.

Wielką wartością była dla Eli bliskość z drugim człowiekiem, czas spędzony z nim na rozmowie, wspólnej kawie, herbacie, spacerze, byciu razem. Obok niej zawsze byli ludzie, których kochała, tak po prostu za to, że są. Miała w sobie jakąś dziwną siłę, która przyciągała do niej ludzi niczym magnes. Fascynował ją człowiek, jego wyjątkowość, niepowtarzalność, dobroć, jego siła przetrwania, pomimo przeciwności losu, czego sama była dowodem. Ela miała duży dystans do siebie, co sprawiało, że zanikały bariery między nią a odwiedzającymi ją ludźmi. Ktoś z jej bliskich znajomych nazwał ją kiedyś Żabą i to przezwisko przylgnęło do niej na zawsze. Kiedy studiowałam w Krakowie w latach 90-tych, miałam okazję odwiedzać Elę, co tydzień. Prawie nigdy nie byłyśmy same. Zawsze obok byli jej znajomi, przyjaciele, rzadko miałam możliwość porozmawiać z nią i pobyc. Ale to dobrze, bo dzięki temu czuła się potrzebna i ... Zresztą w pokoju nie mieszkała sama, miała fajne koleżanki: Bo-żenkę, Józję wspaniałą malarzkę i po sąsiedzku Gosię (dziś już wszystkie są w tym lepszym świecie). Kiedy tam byłam, czułam taką cudowną energię i potem moje problemy wydawały się takie nieważne. Bo czym mogłam się martwić ja, mogąca chodzić, patrząc na te uśmiechnięte, niepełnosprawne dziewczyny, szczęśliwe mimo wszystko...

Obok przyjaźni dominującą wartością w jej życiu była miłość, szczególnie ta duchowa do Boga. W Stwórcy odnajdowała sens życia, w którym nie brakowało trudnych doświadczeń. Elżbieta wierzyła w niego i odczuwała jego miłość, ciągle odkrywała Go na nowo każdego dnia w otaczającym ją świecie: *Jestem dotknięta Bożą Miłością, tak bardzo chciałabym móc coś zrobić, móc pomagać innym. Nie mogę. Ale wierzę, że Bóg przetwarza tę moją niemożność w jakieś inne Dobro* – pisała w jednym z esejów. Dziś nie pamiętam, czy siostra miała chwile zwątpienia, bo nigdy tego po sobie nie pokazywała. Z pewnością nieraz przychodziło zniechęcenie do życia, może bunt, bo czym usprawiedliwić chorobę i niezасłużone cierpienie, jednak potrafiła to skrętnie ukrywać i sprawiać wrażenie osoby pogodnej, pełnej dystansu do otaczającego ją świata.

Dla Elżbiety nie było rzeczy niemożliwych. Jej pasją były podróże w różne ciekawe miejsca. Mogła je realizować dzięki wspomniałym ludziom i grupom działającym na rzecz niepełnosprawnych. Kilka razy z pomocą dobrych ludzi udało się jej dotrzeć wyżej i zdobyć górskie szczyty.

Niepełnosprawność nie przeszkodziła jej też w realizowaniu innych pasji, jedną z nich było zainteresowanie grą aktorską. Elżbieta wzięła udział w sztuce teatralnej, w której zagrali ludzie niepełnosprawni. Grą Eli zachwycił się sam

Tadeusz Różewicz, określając ją „jako ofiarę Izaaka złożoną przez Abrahama”. Pamiętam jak kiedyś, późnym wieczorem oglądałam z rodziną telewizję. Jak ogromne było nasze zdziwienie, kiedy zobaczyliśmy reportaż, w którym główną rolę odgrywała Elżbieta. Film dotyczył wspomnianej wcześniej roli w przedstawieniu. Siostra opowiadała o tym, jak mocno to doświadczenie wpłynęło na jej życie. Wspomniała wówczas o tym, że ta gra pozwoliła jej na przełamanie bariery i udowodnienie innym, że ludzie niepełnosprawni mogą wiele zdziałać.

Kiedy się zastanawiam, co dawało siostrze najwięcej radości, to myślę, że chyba książki. Kochała je czytać od najmłodszych lat. Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem i wychodziłam do szkoły, zostawiałam ją z książką (jeszcze wtedy poruszała rękami), kiedy wracałam, ona wciąż była zatopiona w lekturze. Dziś po latach wiem, że w ten sposób mogła znaleźć się w jakimś lepszym świecie i nie myślała o postępującej chorobie. Kiedyś zapytałam ją o ulubionego autora, okazał się nim polski pisarz Jan Dobraczyński. Z czasem jednak, kiedy zakres jej ruchów stał się bardziej ograniczony, wymyśliła z kolegą „urządzenie do przewracania kartek” zrobione z wygiętego wieszaka na ubrania zakładanego na głowę i ołówka, który służył do przewracania kartek. Kiedy siostra mogła już tylko wykonywać niewielkie ruchy głową, została „testerką” specjalnej myszki zwanej „myszonką”, którą steruje się ODDECHEM. Dzięki temu niezwykłemu urządzeniu, skonstruowanemu przez młodego informatyka, otworzył się dla Eli świat Internetu. Nie tylko mogła czytać, komunikować się z ludźmi, odnawiać znajomości, ale mogła pisać. I to stanie się głównym celem jej życia i prawdziwą pasją...

Pisanie pozwoliło jej przełamać barierę. Mogła pokazać, co czuje człowiek niepełnosprawny, ale niezwykle wrażliwy. Z tych przemyśleń, przeżyć wewnętrznych, refleksji zrodziła się poezja. Bardzo długo nie wiedziałam, że siostra pisze wiersze, opowiadania. Początkowo niewiele osób wtajemniczała w to, co robi. Pewnego dnia po prostu zaskoczyła swoich znajomych, organizując wieczór poezji. Z czasem powstawało więcej tekstów. Kiedy czytałam jej wiersze, widziałam, że one są w swej wymowie pogodne, siostra godzi się ze swoim losem, podziwia piękno otaczającego ją świata, ale nie unika też ukazania ciemnej strony ludzkiej egzystencji. Szczególną pozycję w jej wierszach zajmuje Bóg, którego wielbi, ale który też staje się świadkiem jej bólu i zwątpienia.

Elżbieta realizowała się jako redaktorka. Współpracowała z paroma czasopismami oraz sama redagowała niewielką gazetkę Warsztatów Terapii Zajęciowej. Tutaj dała się poznać jako wspaniała prozatorka. Pisała teksty o różnorodnej tematyce, były to relacje z podróży, z zajęć na warsztatach, opisy bliskich jej osób. Czytając te teksty zebrane w trzech tomikach, wciąż odkrywałam ją na nowo... To one pozostały i Ela jest w nich obecna...

Nie wiem, ile jeszcze „twarzy” siostry nie odkryłam. Może znów za jakiś czas rozłożę stos zdjęć i będę snuła nową opowieść o niezwykłej kobiecie, zawsze gotowej do walki, która pokazuje ludziom, że rzeczy niewykonalne nie istnieją. Niech zakończeniem tej garści wspomnień będzie fragment jej wiersza *Zaduma nad życiem niespełnionej poetki*, pełnego nadziei, że pozostawiła po sobie coś wartościowego:

*I myśl taka zaświtała w mej głowie,
Że może by tak zebrać przyprószone siwizną siły i talenty wszelkie
I dogonić przyszedłszy czas...
I mieć znów swoje wielkie pięć minut,
W ciągu których świat stanie na głowie i pokiwa
Z udawanym zrozumieniem.
A ja będę płonąć...*

(W tekście wykorzystałam fragmenty utworów Elżbiety.)



Tadeusz Charmuszko

Godło: Chichotek, Suwałki

III MIEJSCE PROZA

Majówka

Leżałem niczym świąteczny placek na skraju niewielkiej, zacisznej polanki położonej w samym sercu dostojnej puszczy. Okalająca mnie misterna sceneria, jaką zdołała stworzyć natura, mogłaby wzbudzić zachwyt u niejednej koronowanej głowy, o niekoronowanych nie wspominając. Polankę pokrywał mięsisty, seledynowy dywan gęsto zdobiony różnobarwnym kwieciami. Teren otoczony był zwartym szpalerem drzew oraz gęstą płataniną niższych zarośli o różnorodnych odcieniach zieleni z domieszką brązu. Nad tym wszystkim wysoko rozpięty baldachim z krystalicznie czystego błękitu mienił się w oczach. Boski widok, zwyczajnie raj na ziemi.

Podbudowany odkrywczym spostrzeżeniem o walorach polanki jedną ręką założyłem pod głowę na dowód, że nie całkowity placek ze mnie, a drugą przeczesywałem niespiesznie sprężystą czupryną traw. Z soczystej, zielonej gęstwiny – jakby w miniaturowym teatrzyku kukiełkowym – wyskakiwały najprzeróżniejsze stworzonka.

Niesłychane, człowiek na co dzień nie zastanawia się, ile na tak niewielkiej przestrzeni mieści się oryginalnych form życia. Jakies długonogie kózki, różnej maści pajęczki, muchy, muszki, chrząszcze, żuczki, mrówki i Bóg jeden wie, co tam jeszcze, a czego ja nie zdołałem dokładniej od naukowej strony poznać swego czasu na obowiązkowych lekcjach przyrody, które sprowadzały się jak u dziecięta do szybkiego odbębnienia sprawy przez nauczycielkę przedmiotu.

Czyste, nasycone żywicą powietrze, wypełnione jarmarcznym rozgwarem bywalców polanki, jak też otaczającej puszczy, falowało i mieniło się w promieniach słońca. Cudowne uczucie wtapienia się w żywą naturę, przenikania w jej krwiobieg, zespalandia się z nią uznać można za swoisty narkotyk albo nawet za leczniczą terapię, którą niewątpliwie zalecaliby światowej sławy specjaliści każdemu wysoko postawionemu dostojnikowi, nie przeciętnemu zjadaczowi chleba, a mojej skromnej osobie w szczególności. Pijany z zachwytu to niezwykle trafne określenie do zobrazowania mojego stanu ducha, w jakim akurat pozostawałem.

Postronny obserwator mógłby zapewne podejrzewać mnie o prymitywne wałkowanie się i rozmyślną bumelkę, ale wysnuwanie takich wniosków jest nader pochopne i całkowicie błędne. Ja jedynie z niezwykłą sumiennością

wypełniałem zalecenia lekarza rodzinnego, zaś lekarskich zaleceń żadną miarą lekceważyć nie należy, jeżeli nie chce się mieć poważnych powikłań w dziedzinie bakteryjno-ubezpieczeniowej.

Nakreślony wcześniej obraz uzupełnić wypada o jeszcze dwa niezwykle w sprawie istotne szczegóły, żeby nie było żadnych niedomówień z mojej strony.

Pierwszy szczegół to leśna pasieka. Kolorowe ule opasywały polankę nietypowym kordonem nie bez powodu. Przecież było tutaj mnóstwo kwiatów, że pszczoły nie musiały nadmiernie męczyć się w poszukiwaniu cennego nektaru i pyłku kwiatowego. Tym samym mogły zgromadzić większe zapasy.

Drugi, stokroć ważniejszy element nakreślonego z grubsza obrazu to młoda kobieta, uroczą przyjaciółka, która – rzecz zrozumiała – spoczywała tuż obok mnie, przypominając swoją niezwykle kształtną obecnością o podstawowych obowiązkach, jakie to bezsprzecznie spoczywają na facecie w moim wieku, kiedy wokół brak jest typowych przeszkód w rodzaju gajowego lub grzybiarza, a w ostateczności – drwala.

Cóż można począć, kiedy brakuje uzasadnionej podstawy do wykrętów? W tej sytuacji nie wypadało przecież uchodzić za egzotycznego leniwcę, chociaż formalnie byłem w roli rekonwalescenta. Dobre wychowanie nakazywało, aby dyskretnie i bez zbędnej opieszałości zabrać się do konkretnego działania, ponieważ czas płynął nieubłaganie, zaś płeć piękna nie cierpi długiego oczekiwania.

Uszczknąłem zatem źdźbło trawy, musnąłem nim kształtne ucho dziewczyny i jeszcze dla lepszego efektu przejechałem zieloną miotełką po gładkim karku. Natychmiast obróciła się ochoczo w moją stronę, zaś każda jej krągłość idealnie sklepiąca stanowiła dla mnie nie lada wyzwanie niczym rękawica rzucona pod nogi średniowiecznemu rycerzowi. Nie było nawet cienia myśli o rejteradzie. Należało niezwłocznie przystąpić do zmasowanego szturm, by reguły gry zostały z grubsza zachowane i wyglądało, iż naczelne dowództwo spoczywa we właściwych rękach.

Korzystne warunki pogodowe spowodowały, że szturm miałem wyjątkowo ułatwiony, bowiem fortyfikacje twierdzy były szczątkowe zgodnie z najnowszą modą. W dodatku strona oblegana najwyraźniej nastawiona była na poddanie się z marszu, czyli bez kiwnięcia palcem w sprawie obrony.

Nie przeczę, zapowiadało się cudownie, coraz cudowniej. Czułem się wyśmienicie na tyle, że mogłem zwycięsko podążać do osiągnięcia pełnej chwały, należnej wszak zdobywcy. Już, już miałem liznąć nieco nieba przeznaczonego dla zwycięzców na tym ziemskim padole, kiedy raptem pojawiła się pszczoła. Pewnie była z któregoś ula pod lasem.

Raz i drugi zatoczyła leniwie koło blisko mojej głowy. To jeszcze nie był alarm, ale na wszelki wypadek zamarłem w bezruchu, bo jej bzykanie nie wróżyło rychłego miodobrania. Wstrzymałem nawet oddech, żeby nie dawać najmniejszego powodu do agresywnej zaczepki. Pszczoła widocznie doceniła mój wysiłek, ponieważ zrezygnowała z głowy i wylądowała na lewym pośladku. Oczywiście, na moim pośladku. Czyżby miała wrodzoną słabość do lewicy? Czort z jej przekonaniem, ale nie powiem, ażebym był tym faktem zachwycony. Wprawdzie nie kwapiła się z żądleniem, co mimo napięcia, wykazywanego w nerwowym oczekiwaniu, stwarzało nikłą szansę na polubowne zakończenie wizyty. Widocznie obudził się w niej duch turystki, bowiem galopowała po odsłoniętym pośladku jak wnerwiony Kazio po kwiatowych rabatkach.

Czułem się jak na chińskich torturach, a ona wciąż nie ustawała w biegu. Zaciskałem zęby, żeby nie fajnąć nogą i nie wnerwić czujnego owada. Turystka tymczasem przeniosła się na drugi pośladek w celu zachowania politycznej równowagi i dalej oddawała się estetyce czystych doznań krajoznawczo-anatomicznych. Myślałem, że dłużej nie wytrzymam, kiedy wystartowała nagle jak szkoleniowa iryda z Dębłina i szybko znikła z pola widzenia.

Odetchnąłem z nieopisaną ulgą. Mogło być niewesoło, a tak mogłem dalej spokojnie kontynuować rozkoszne, acz niefortunnie przerwane zajęcie. Od razu poczułem przyływ nowych sił witalnych i humor mi poprawił się znakomicie. Szybko złapałem poprzedni rytm ze szczegółami wypracowanymi w minionych epokach przez zacnych pradziadów. Jednakże nie dane mi było dokończenie tak wspaniale rozpoczętego dzieła o twórczym, jak mało które, charakterze.

Pszczoła, ledwo co odleciała, a już niebawem powróciła i to w licznym towarzystwie przyjaciółek z ula lub nawet z kilku uli. Wszystkie sprawnie jak na komendę wylądowały na moim pośladku, niczym na płycie lotniska.

Poczułem jak cierpnie mi skóra, kiedy mnie połaskotały.

– Odczepcie się, idiotki! – warknąłem mało towarzysko, gdyż jak każdy mężczyzna nie lubię, kiedy przeszkadza się w podobnym momencie.

Pszczoły musiały być wyjątkowo pojętymi owadami, gdyż w tej samej chwili wzbity się rojem, jakby w celu odbycia błyskawicznej narady, zaś we mnie złudnie ożyła iskierka nadziei. Niestety, pszczele ustępstwo okazało się jedynie chwilowe. O dalszych pertraktacjach nie było mowy, gdyż szybko powróciły złowrogą eskadrą i wbiły żądła jednocześnie jak na profesjonalistki przystało.

Moje dążenie do pełni szczęścia zostało skutecznie zastopowane. Zostałem pokonany u bram raj. Możliwe, że to jakieś zaciekle rywalki mojej

partnerki wcielone w owady albo przez rywalkę nasłane. Inaczej rozsądnie tego zdarzenia wytłumaczyć nie potrafiłem.

Niezależnie od poniesionego uszczerbku na dość wstydlivej części ciała, podziwiałem zaciętrzewienie roju skrzydlatych stworzeń, które poświęciły własne życie dla niezrozumiałej mi idei. Coś w tym musiało być! Coś być musiało i coś zapewne było, nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale nie miałem ochoty na snucie dalszych rozważań natury filozoficznej, gdyż obolała i błyskawicznie puchnąca jak drożdżowe ciasto pożądłona część mojego ciała nie pozwalała na głębsze skupienie myśli na czymkolwiek innym.

Tymczasem moja urocza partnerka skręcała się obok na trawie nie z powodu jadowitej inwazji owadów, ale w paroksyzmach histerycznego wręcz śmiechu, że rzekomo pszczoły nie użądliły mnie tam, gdzie należało użądlić. Ot, masz człowieku współczucie!

Starałem skupić się nad zaistniałą sytuacją, chociaż przychodziło mi to z ogromnym trudem, bo tyłek piekł, jakbym siedział na rozpalonym blacie kuchennym.

Zaraz, zaraz, niech tylko oprzytomnieję! Przemogłem się wreszcie jakoś. O rany! Czy to jest możliwe? Czy ja aby czasami nie majaczę? Powoli wszystko stawało się jasne. Otóż najwyraźniej moja piękna towarzyszą, zniecierpliwiona długim oczekiwaniem na cielesne rozkosze, zwabiła sobie znanym sposobem rój pszczół po to tylko, by go niecznie wykorzystać do postawienia mnie w stan pełnej gotowości. W pospiesznym działaniu pewnie nie zdołała dokładnie naprowadzić eskadry na cel.

Chyba że to był zwykły błąd GPS-u?

Jestem twoim lustrem, mamo

Mama uśmiechała się do mnie promiennie, tak jak każdego dnia, nawet wtedy, gdy leciały mi łzy.

– Nic się nie stało, kochanie, nie przejmuj się, to tylko maleńkie skaleczenie. Zaraz sobie z nim poradzimy – wydawało się jakby mój płacz i głęboko przeżykana gula w gardle nie robiła na niej wrażenia.

Może faktycznie to było nic? Prawie już nie bolało, gdy pierwszy szok minął. Kolano było tylko trochę starte i stłuczone. Kojący głos mamy i jej objęcia łagodziły każdy ból.

– Mamo, jak się czujesz? – wpadłem do sypialni, gdy tata poszedł po leki.

Został mnie widok kolejnej kroplówki, wiszącej u wezłowania łóżka. Miały pomóc mamie stanąć na nogi, choć słabła z każdym kolejnym dniem. My dalej walczyliśmy. Wiedziałem, że muszę być dzielny i wspierać ją na każdym kroku. Udawać normalność na tyle, ile było to możliwe. Wsunąłem się na łóżko tuż obok i przytuliłem głowę w zagłębienie jej szyi, czując oddech na swoim policzku.

– Nawet nieźle – odpowiedziała w końcu na moje pytanie, a ja parsknąłem śmiechem, a na jej bladej, zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech.

– To dobrze, mamo.

Opowiedziałem jak było w szkole, co robiliśmy, a ona słuchała. To były nasze rytuały. Tata w końcu pojawił się w drzwiach.

– Daniel! – zagrzmiał. – Nie mogłeś się przebrać, przed przyjściem tutaj? Przecież znasz zasady. Czy ty naprawdę choć raz nie możesz zrobić tego o co proszę?

Pokazałem mamie wykrzywioną minę, zaśmiała się, a ja wybiegłem z pokoju, unikając karcącego spojrzenia ojca.

– Krzysiek, daj spokój, przecież nic mi nie jest... – śmiała się.

- Danielku, babcia źle się dzisiaj czuje. Zaniesiemy jej ciepły rosół, żeby szybko postawił ją na nogi - powiedziała do mnie mama, gdy zamykaliśmy drzwi mieszkania.

Babcia mieszkała niedaleko i od kilku dni walczyła z okropną grypą, która praktycznie przykuła ją do łóżka.

- Już nie zaraża. Posiedzisz z babcią i porozmawiasz, a ja ogarnę w tym czasie mieszkanie.

- Musimy, mamó? - zapytałem i nachmurzyłem się.

Chciałem iść na plac zabaw, po ostatnich deszczowych dniach w końcu było ciepło.

- Niestety tak, synku. Babcia jest jeszcze słaba, ale nie martw się, jak szybko się uwiniemy, to może jeszcze pójdziemy na chwilę do parku.

Na te słowa uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

- Tato, idź, nie martw się, zostanę z mamą, to tylko jeden wieczór. Też potrzebujesz oderwać się od tego wszystkiego - szepnąłem, próbując wypchnąć ojca za drzwi.

- Ale...

- Wujek Staszek będzie zawiedziony, jak wystawisz go ósmy raz z rzędu. To tylko kilka godzin, pomogę mamie, gdyby źle się czuła. Poza tym teraz śpi, przecież wiesz, że dużo odpoczywa. Damy radę.

- Ale... - próbował znów coś powiedzieć, ostatecznie jednak się poddał. Uścisnął mocno moje ramię i wyszedł.

Rak to poważna choroba. Ostatnio było coraz gorzej. Terapia szła kiepsko, a mama słabła. Tata nie chciał stracić ani jednego dnia, ale nie mógł żyć tylko chorobą żony. Ostatnimi czasy coraz bardziej markotniał, a jego ponura aura nie pomagała. Mimo że miałem tylko dziesięć lat, wiedziałem więcej niż nie jeden dzieciak w moim wieku.

Z sypialni dochodziło ciężkie spanie, łóżko trzeszczało. Szybko ruszyłem w tamtym kierunku.

- Mamó, nie wstawaj, pomogę - podszedłem, podając jej rękę, by mogła usiąść na łóżku.

- Kochanie, dam radę, nie musisz. Zajmij się trochę sobą, poradzę sobie.

- Nie żartuj - bąknąłem. - Po tu jestem. Mów co mam robić - dodałem z rozbrajającym uśmiechem, który mówił, że jestem tu dla niej.

Popatrzyła na mnie i odwzajemniła uśmiech. Gdy wychodziłem zaparzyć jej herbaty, usłyszałem ciche pociąganie nosem. Oczy zaszczyły mi łzami.

Spieszyliśmy się na tramwaj, mama mocno trzymała mnie za rękę, żebym się nie zgubił. Dotarliśmy na przystanek w samą porę, bo już w oddali było widać nadjeżdżający pojazd.

- Zdążyliśmy – ucieszyła się mama.

Rozglądałem się ciekawie dookoła, gdy moje spojrzenie padło na starszą panią, która siedziała na ławeczce, a obok oparta leżała wysłużona laska. Nie mogłem oderwać od niej oczu, nawet wtedy, gdy staruszka spojrzała na mnie. Lekko się zmieszałem, ale ciekawość wygrała.

Tramwaj się zatrzymał, kobieta podniosła się z miejsca, żeby doczłapać się wolnym krokiem do drzwi. Mama już wprowadziła mnie do środka.

- Zaczekaj sekundkę – powiedziała, puściła moją rękę i odwróciła się do starszej pani.

- Pomogę.

Podtrzymała staruszkę, gdy ta wsiadała i odprowadziła ją na najbliższe wolne miejsce. Po czym wróciła do mnie, a ja patrzyłem z szeroko otwartymi oczami.

- Starszym czasem trzeba pomagać. Nas nic to nie kosztuje – powiedziała i obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem.

Staliśmy w sali szpitalnej, było bardzo źle, tacie łyzy kapały po twarzy, ja próbowałem jak zwykle trzymać się. Ktoś musiał dać mamie siły, choćby jeszcze na kilka dni.

Podawali jej tlen, po tym jak straciła przytomność. Zadzwoiłem na pogotowie, jak najszybciej mogłem i pomagałem zbierać wszystkie potrzebne rzeczy. Modląc się w duchu, by jeszcze wytrzymała, chociaż chwilę. Bo śmierć pukała nam nieuchronnie w drzwi. Na chorobę mamy nie było ratunku.

Pozwolili nam w końcu do niej wejść, była przytomna, ale słaba. Chwyciła moją rękę, a drugą ściągnęła maskę tlenową, bym mógł ją usłyszeć.

-Dziękuję - powiedziała ochrypłym, słabym głosem.

- Drobnostka - uśmiechnąłem się nie mogąc powstrzymać łez, które rozmaszały mi obraz jej wymęczonej twarzy. - To jak pomoc starszej pani, gdy wsiada do tramwaju. Zapłakaliśmy oboje.

Ścisnąłem mocno tatę za rękę, by dodać mu otuchy. Tak zrobiłaby mama, ale jej już nie było. Kilka łez spłynęło mi po policzkach. Co z tego, że chłopaki nie płaczą, moja mama wiedziała, że to nic takiego. Na tę myśl zapragnąłem znów wtulić się w jej włosy i zobaczyć jak się uśmiecha.

- Kocham cię, mamo - powiedziałem ostatnie dobre słowo, mając nadzieję, że gdziekolwiek teraz jest usłyszysz mnie.

Rzuciłem czerwoną różę w ślad za trumną.

Zostaliśmy sami.



Piotr Kapłon

Godło: Maj, Olsztyn

WYRÓŻNIENIE PROZA

A maj zaczyna się tak nagle, niemyym wybuchem kolorów, niezwykłym objawieniem. Bo tak niespodziewanie objawiają się kolory, zapachy, tęsknoty. Są wyczekiwane, ale gdy to się staje - jednak zaskakuje. Jest jakaś niezwykła magia dni majowych, może dlatego, że okres to krótki i ulotny. Niemal z dnia na dzień, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odmienia się wszystko. Zdawałoby się, że dobrze wiem, co nastąpi, ale co roku to widowisko wprawia mnie w oszołomienie. Wtedy skłonny jestem ulec, skądinąd fałszywemu założeniu, że wszystko może się zdarzyć, na nowo. W głowie mam tak dużo ufnej radości, widząc jak to, co było dotąd posępne i szare, w ciągu kilku dni nabiera pogodnego wyrazu, zieleni się przyjemnie. Popatrz na drzewa, wczoraj jeszcze samotne, upiornie poskręcane, dzisiaj przywdziały zielonkawę uniformy.

Maj oddycha lekkością. To czas skrywanych wyznań, niebotycznych planów, marzeń.

Już w zawiązkach liści, w pąkach, myślę o tym, co nastanie, co się spełni, na co czekam. Zaptaszone świty jaśnieją, a ptaki wieszczą majową nowinę frywolną wrzawą. Przelotny deszczyk trochę studzi głowy, lecz nikt nie myśli szukać parasola, to nieważne, teraz się rośnie. Wszystko, co nas otacza, odmienia się, a uśmiechy w przyptywie odwagi wyraźniej, z dominacją cieplej, beztroskiej zieleni. To pora jej ekspansji, wszędobylskości, a cokolwiek już się zazieleni, nadyma się, wdzięczy, pęcznieje, aż po zawrót głowy, aż do nasycenia. W każdym zakamarku, z każdej szparki, kąta, coś kiełkuje na zielono. W maju zieleń jest bezwstydną, samym wyglądem, roztrzępaną, pachnie świeżością.

Dostrzegam jej lekkomyślną naturę. Przyznajmy, jest trochę kiczowata. Całe to majowe widowisko wygląda jak inwazja zielonych ludzików, a każdy z pędzelkiem i tubką jednej farby. Zielonej. Nastął czas beztroskiej kreacji. Takie bezkrytyczne malowanie, wręcz bazgrolenie, ciapanie, gdzie popadnie, i na co się tylko da. Zbyt to wyraziste i dosadne? Czy wychodzi kiczowato? Ale przecież to nie jest prawda, nie ma tu banału, powstaje dzieło majestatyczne, genialne. Choć to takie proste malowanie, choć technika pospieszna i swobodna, jest to sztuka emocjonalna najwyższego lotu, pewna powszechnego uznania.

Dzieło hipnotyzujące, rozognione rozmigotanymi południami, zanim stonuje się, zharmonizuje i w końcu uspokoi, a wtedy pewnie przyjdzie refleksja, że nie przywiązywaliśmy należytej mu uwagi, będzie żałość. Ale nie czas

teraz, jeszcze nie, więc ulegnijmy naiwnej radości tworzenia, cieszymy się, bo wystarczy tubka jednej farby, a jakież bezmiar zachwyty.

Cieszymy się! Nadeszły dni majone, rozpalone aż do zieloności. I wszystkie giełdy świata oszalały. Dziś zieloność osiąga maksymalne ceny, gdyż to towar najbardziej pożądany. Wkoło panuje niesłychane zamieszanie. Jest wielki hałas, nagła hossa na zielone, wielkie boom.

Pewnie ktoś podsycza ten żarłoczny popyt, ale asortyment znajdziemy też bogaty. Nie wiem, czy każdy z odcieni zieleni precyzyjnie opisano składnikami widma, fizyczną analizą. Łatwo je odnaleźć, zaszeregowane w katalogach barw pod osobliwymi nazwami, choć same kolory pewnie o tym nie wiedzą.

Mam ulubioną zieleń – Veronese’a, która na giełdach maja jest dobrze notowana. Lubię harmonijną delikatność tej barwy, uspokaja oczy. Na starych obrazach doszukuję się jej dyskretnej obecności. Paolo Veronese był malarzem niepokornym, ale nie ma powodu przypisywać mu szczególnej tu zasługi, wszakże zmieszał tylko pigmenty, choć musiał mieć w tym dużo przyjemności. Może to przypadek, a może poniosła go fantazja. On fantastą przecież był ogromnym, wręcz konfabulantem, jego przekłamane wizje świata kwestionowała nawet Święta Inkwizycja. Zarzucano mu zbyt swobodne traktowanie spraw poważnych, lecz tłumacząc go, przyjmijmy – on po prostu nie dbał o realia, skupiał się na formie. Ale te konfabulacje są cudownie namalowane, miękkim światłem i pieszczotą, bez żadnego fałszu.

I gdzieś tam skrywał, wymieszana z innymi, swoją barwę. A gdzie? Pozostaje zawsze zagadką.

Zagubiłem się w ogrodach, zwabił mnie tu upojny zapach bzów. Błąkam się przywiedziony krętymi ścieżkami, za opłotkami, za bzami, od krzaka do krzaka. Fioletowe bzy pachną głębiej, białe bielej i łagodniej. I ten lekki ciepły wietrzyk, pieszczotliwy, niespokojny, szepcze z liśćmi, półsłówkami. Mam ochotę utulić się w moich rozgrzanych myślach, musnąć na policzku chwili delikatny meszek. Czuję już ten dotyk, stąd moje zmieszanie i pewnie się rumienię.

Ech, to zmierzch zapalił latarnie, ażurowe światło pośród liści napęczniało, a one drżą jak ja, wieczorną mgłą, życzliwie.

Ach, ten mój niepokój, mam chęć dotykać, szukać i nie chcę się uspokoić. Pójść też nie chcę, nasłuchuję szmerów nocy. Jest tak niewymownie ciepło, tak przyjemnie. A tam gdzieś w dali, za drzewami, słońce gaśnie pastelami. Majowa noc nadchodzi, przymilna, jakbym czytał Hafiza – tutaj czeka mnie schadzka, rozkwitną gwiazdy, może zblednie księżyc, bo przecież noc majowa jest najpiękniejszą kobietą świata.

Tak (nie)wiele rzeczy

Cały majątek zmieścił się w zaledwie trzy trasy taksówką w tą i z powrotem i dziesięć kursów po schodach na czwarte piętro. Kartony piętrzyły się jeden na drugim, porozklejane i na wpół otwarte. Rzeczy popakowała we wszystko: najpierw w porządne walizy, potem w dwie nigdy nieużywane torby na siłownię, w plecaki podróżne mieszczące się jako bagaż podręczny do samolotu, a wreszcie w materiałowe siatki na zakupy. Zniosło się to, zrzuciło i zwaliło byle jak, bez ładu i składu. Całe życie zapakowane, obklejone taśmą i owinięte w folię bąbelkową.

Pakowała się i myślała, jak jedna osoba może mieć tak dużo rzeczy, do licha ciężkiego, żyła przecież samiotka jak palec. Dorobiła się co najmniej kilkunastu kompletów sztućców, co prawda każdy jeden był inny, bo większość wyniosła z restauracji, kawiarni, barów mlecznych. Kubków i kieliszków też się nagromadziło, chyba dlatego, że każdy, kto nie wie co kupić na prezent, kupuje ładne szkło. Kurzy się to potem po szafkach, bo ostatecznie pije się zawsze z tego jednego, ulubionego. Zresztą, połowa szklanek była z drugiego obiegu: albo po Nutelli, albo po świeczkach.

Na początku, gdy zapraszała znajomych, kazała każdemu przynosić własny kubek, żeby każdy miał z czego pić drinka. Zawsze znalazł się ktoś, kto zapomniał i ostatecznie musiał zadowolić się metalowym garnuszkiem do gotowania jajek. Cokolwiek wtedy pili (a za pewno było solidnie wymieszane), smakowało tak samo ze wszystkiego, szczególnie, jeśli wypije się tego wystarczająco dużo.

Przyszło jej do głowy, że naprawdę jest dorosła, bo ma przyzwoite naczynia żaroodporne, w których można zapiekać rodzinne danie, a nie tylko w kółko odsmażać coś na przepalanej patelni. Miała nawet wazony, sama nawet nie wiedziała, skąd. Może przydałoby się rzadziej bywać na pchlich targach.

Na początku, gdy tu przyjechała, wszystko było po macoszemu i wszystko było tylko, żeby było. Szczęśliwie miała dobrych ludzi wokół, przede wszystkim te dwie: Marcelę i Agnieszkę. Otwierały wino i piły je w szklankach, bo kieliszków dorobiła się dopiero po dwóch latach. Korkociągu zresztą też nie miała, więc trzeba było opracowywać technikę. Najczęściej wpychały korek

do środka śrubokrętem, ale potem trzeba było uważać na drzazgi pływające w napoju.

Obrasta się w rzeczy jakoś naturalnie, przypadkowo, niezauważalnie. Przyjeżdżasz z jedną walizką, może z dwoma, bo więcej nie uciągniesz, nie udźwigniesz, nie podniesiesz. Zresztą, nawet z tym jest ciężko w pociągu, jakiś dzieciak, tyle samo młodszy, co wyższy od ciebie, musi ci pomóc włądować bagaż na wysoką półkę. Pięć lat temu dokładnie tak się zjawiała w obcym, wielkim mieście, które dzisiaj wcale już nie wydawało się takie duże.

Zapakowała wtedy same ładne rzeczy: wszystkie koszule i śliczne sukienki, tylko po to, żeby w pierwszym tygodniu się przekonać, że tak właściwie nie ma w czym chodzić tak po prostu. Nie wzięła ubrań najpotrzebniejszych, wzięła te najlepsze. Ubierała się zresztą wtedy inaczej. Potem stopniowo się dokupowało: najpierw szlafrok, żeby poczuć się jak w domu, potem nowe rzeczy na lato i nowe rzeczy na zimę, sukienkę na okazję i sukienkę bez okazji.

Trzeba było też zdobyć trochę najpotrzebniejszych rzeczy: przynajmniej talerz, żeby nie kroić chleba na biurku i przynajmniej jedną miszkę, żeby nie jeść wprost z garnka. Bynajmniej nie dlatego, że to nie wypada, po prostu łatwo się wtedy poparzyć. Najpierw wybrała takie najtańsze, białe, prawie plastikowe, bo wydawało się, że to bez znaczenia. Chwilę potrzebowała, aby się nauczyć, że jednak trzeba mieć rzeczy, które się lubi, żeby się gdzieś zadomowić, żeby osiąść i żeby się poczuć na swoim. Nijakie, bezosobowe przedmioty tylko na pozór nie mają znaczenia, w rzeczywistości sprawiają, że samemu czuje się nijako i bezosobowo. Przywiozła sobie ulubione talerze z domu. Stłukły się po dwóch miesiącach.

Tego dnia nie przeprowadzała się po raz pierwszy, przeciągnęła swoje graty już po kilku lokalach: lepszych i gorszych. Najpierw był pokój wielkości jednej trzeciej pokoju na drugim końcu z miasta z fatalnym dojazdem, ale za to ładnym widokiem z okna. Miała też całkiem miłe sąsiadki: Werkę, która miała złamane serce trzy do pięciu razy w miesiącu i Anię, która przychodziła do mieszkania jak do hotelu, tylko się przespać. Później trafiła troszkę lepiej: więcej miejsca w kamienicy z ogrodem, ale za to zimą trzeba było nosić dwa swetry, bo stare okna przepuszczały wilgoć. Zawsze, gdy wracała późno, jamnik sąsiadów ujadał jak nawiedzony aż czuła się trochę zawstydzona, szczególnie, gdy nie przychodziła sama. W akademiku było najzabawniej: rzędy drzwi ciągnęły się wzdłuż długiego korytarza, tak, że czuła się trochę jak w więzieniu, idąc z pościelą pod pachą. Gdy rozkładała suszarkę na pranie w tamtym pokoju, nie mogła się ruszyć w żadną stronę.

Zadamawianie się jest procesem powolnym i wywoływanym przez szereg różnych, niepowiązanych ze sobą czynników. Jedną z pierwszych oznak, że

jesteś już u siebie, są zapełnione szafki w kuchni. Wydaje się, że przyprawy, cukry, oleje, mąki zawsze są w zaopatrzeniu, ten jeden słoiczek cynamonu wystarcza przecież od trzech do trzydziestu trzech miesięcy. Gdy zamieszkała sama, miała tylko sól i wędzoną paprykę, bo dla jednej osoby nie warto przesadnie wygotowywać. Najpierw je się tylko tosty z serem i ser z tostami. Czasem, dla odmiany, makaron z serem. Któregoś dnia jednak, w szafce jest nagle kilka rodzajów pieprzu i nawet młynek elektryczny.

Ale ostatecznie wszędzie jakoś było i w każdym kolejnym miejscu było trochę lepiej, trochę złej, trochę prościej, całkiem, jakby potrzebowała akurat tego przystanku na swojej drodze. Raz mieszkała z Kamilą, która zawsze w niedzielę przynosiła jej rosół pod drzwi równo w południe. Zwykle o tej porze dopiero się budziła, ale było to najpożywniejsze śniadanie, jakie jadła przez cały tydzień. Innym razem pomieszkiwał u niej Miłosz, który zawsze pojawiał się bez zapowiedzi i nigdy nie wiedziała, ile zostanie. Gdy nie mogła znaleźć jakiejś rzeczy po jego wyjściu, zawsze zastanawiała się, czy to on tego nie ukradł. W każdym miejscu też się czegoś nauczyła: wkręcać żarówki, wykłócać z wynajmującymi, pamiętać o podlewaniu kwiatków, piec bezę. Pierwszy raz, gdy sama zrobiła mielone na obiad, nie posoliła mięsa i nikt, nawet przy najszczerzych chęciach, nie był w stanie ich przełknąć. Zresztą, im więcej tych miejsc człowiek przejdzie i im więcej bagażu ze sobą dźwiga, tym bardziej się zmienia. Po tygodniu w obcym mieście zaczęła chodzić szybciej, bo zawsze się gdzieś spieszyła. Po miesiącu przestała sprawdzać drogę w telefonie, bo zaczęła kojarzyć ulice. Po roku wiedziała już, gdzie zjeść tłusty rosół na kaca i gdzie kupić warzywa trochę taniej. Po dwóch latach czuła się już prawie lokalsem.

Potem zresztą siedziały z Marcelą albo z Agnieszką i rozmawiały.

– Pamiętasz, jak podpaliłam okno w akademiku? No, pamiętasz przecież. Lusterko zostawiłam na oknie i wiesz co, okazało się, że lekcje fizyki z gimnazjum mogą wydarzyć się w rzeczywistości. No, skupia światło, lusterko zbiera światło. To cud, że się wtedy alarm nie włączył i że nikt potem nie zauważył nadpalonej framugi.

– A wtedy, jak mnie nocowałam w tajemnicy, bo nie mogłaś gości przyjmować u tej szurniętej właścicielki? Musiałyśmy szeptem rozmawiać cały czas!

– Ty zawsze mówisz szeptem, bo ci się wydaje, że ktoś podsłucha!

– To jest małe miasto, nie wiesz, kto kogo zna, kto co skojarzy!

– Jejku, a pamiętasz jak mieszkałaś z tą wariatką, co sprowadzała całe tłumy do mieszkania? Przecież u was non stop była impreza, świętek, piątek czy niedziela.

– Nie, w niedzielę to akurat tam wszyscy spali, w poniedziałek szło od nowa.

Śmiały się potem z tego wszystkiego, bo niewiele więcej z tych wszystkich przypadkowych mieszkań zostało poza głupimi anegdotkami, którymi można się przywitać z nowymi współlokatorami przy kolejnej przeprowadzce.

Zaczęła trzymać suszone kwiaty, chociaż podobno przynosi to pecha. Nigdy nie wierzyła w głupie przesady, za to była naiwnie sentymentalna i uwielbiała stare bukiety. Z największym żalem wyrzuciła je na parę dni przed zdaniem poprzedniego mieszkania. Trzymała zresztą wszystko: bileciki, ulotki, notatki, rysunki, naklejki. Taka natura, lubiąca wspominać.

Pakowała się i myślała też, jak jedna osoba może mieć tak niewiele rzeczy, do licha ciężkiego, żyłą przecież już trochę. Przez dwadzieścia pięć lat, a ostatnich pięć samodzielnych i niezależnych, można było zdobyć trochę więcej niż tylko używaną etażerkę i kradzione po restauracjach sztucce. Przez moment miała swój fotel, przywleczony z cudzej wyprowadzki, ale bez przerwy myślała, czy nie załęgły się tam pchły, wszy, larwy i ostatecznie oddała go w kolejne ręce. Do kapitału mogła sobie jeszcze wpisać rodzinny sznur pereł od mamusi, plastikowy pierścionek z niebieskim oczkiem wygrany w automacie nad morzem i złoty krzyżyk ze chrztu. Nic wartościowego. Rzeczy osaczały ją z każdej strony, a jednocześnie czuła, jak jej wszystkiego brakuje. Każdy karton starannie opisała markerem, ale nie wiedziała, gdzie co jest. Przeprowadzała się kolejny raz w życiu, a nie miała pojęcia, od czego zacząć rozpakowywanie.

Siedziała na środku wśród tych wszystkich kartonów, walizek, toreb, siatek; wśród całego swojego dobytku. Pierwsza na noc na nowym, troszkę bliżej do centrum, trochę dalej od uniwersytetu, ale to przecież nieważne, bo już skończyła studia. Właśnie, do majątku mogła sobie wliczyć także dyplom z wyróżnieniem w czerwonej okładce i dwie wydrukowane prace: licencjacką i magisterską. O, i tak samo czerwony czajnik elektryczny, ten sam od pięciu lat, pokryty już solidnie kamieniem.

Czuła się jakaś samotna: z jednej strony osaczona tymi wszystkimi rzeczami, z drugiej tak zupełnie bezradna, jakby nie miała się czego złapać i na czym podeprzeć.

Ale, przecież, jednak już coś tak miała, trochę więcej niż niektórzy, trochę mniej niż inni. Kupiła okazjnie ładne biurko, które w złym świetle mogło nawet uchodzić za secesyjne. Nazbierała całkiem sporo książek, bardzo solidną kolekcję tomików poezji. Miała dwa porządne naczynia żaroodporne – to o dwa więcej niż ma przeciętny człowiek zagubiony w życiu. Same ramki na zdjęcia zajęły jej pół największej walizki.

Potrząsnęła głową i wstała z zimnej podłogi. Trzeba będzie kupić dywan, od razu zrobi się przyjemniej. Rozciągnęła się i pomyślała, że może owszem, to tylko rzeczy, ale wszystkie gdzieś zdobyte, znalezione, zakupione. Nawet te głupie sukienki coś znaczyły – w czarnej welurowej zdała swój pierwszy egzamin na studiach, w tej w kropki – zakochała się po raz pierwszy, w niebieskiej – przetańczyła połowę imprez na drugim roku.

Odpakowała ulubioną lampę z folii bąbelkowej i ustawiła przy kanapie. Wyjęła kilka świeczek, żeby było przytulniej i żeby zabić wilgotny zapach pustego mieszkania. Znalazła swoje poduszki i stary koc przywieziony jeszcze z domu rodzinnego. Nawet, jeśli to tylko kolejny przystanek, to przecież nic złego.

Ogarnęła wzrokiem cały swój dobytek i pomyślała, że może to dużo, a może i niedużo. Żaden bagaż życiowy, raczej trochę pamiątek, które się ze sobą taszczy, nie ze względu na wartość rzeczywistą, a raczej na sentyment. Część z nich przywlekła jeszcze z pierwszego mieszkania i za pewne zabierze do tego wymarzonego, ostatniego.

Być może za pół roku znowu będzie musiała wszystko zapakować w kolejne kartony i zużyć zatrważające ilości brązowej taśmy, ale przecież przetrwała to już tyle razy, że poradzi sobie z kolejnym. Zresztą, nawet to miejsce – być może jest tylko na chwilę, ale właśnie przez tą chwilę jest jej.

Wyciągnęła pudełko z pocztówkami i zdjęciami i postanowiła zacząć od zrobienia kolażu na ścianie. Tak na początek.

Gdzieś ta droga zresztą musi prowadzić, przecież nie można się wiecznie tułać z punktu do punktu, z pokoju do pokoju. Jeszcze kiedyś będzie miała ładne mieszkanie i chociaż raz umebluje je po swojemu, a nie tak jak chciał wynajmujący albo pośrednicząca agencja. Będą prawdziwe tapety, a nie te nijakie ściany pomalowane na biało, bo takie najłatwiej odmalować (i najłatwiej potrącić z kaucji za plamy na nich, bo widać każde dotknięcie palcem). Upchnie wtedy wszystkie rzeczy, które nagromadziła przez lata tułaczki i przeprowadzek i znajdzie miejsce dla każdej z nich. Nie będzie już trzymania naczyń w kartonowym pudełku pod łóżkiem. I tam, po raz pierwszy, nie będzie już taka sama.

Jest przecież na świecie jakieś miejsce, taka prywatne, małe, własne. Musi gdzieś być.

*Kategoria
- poezja -
młodzież*



Grzegorz Sobkiewicz, 15 lat

Godło: *Grechut, Agatówka*
I MIEJSCE POEZJA MŁODZIEŻ

Mojej Babci...

tak bardzo cię nie ma
przy kuchennym stole
w wieczornym modlitewnym szepcie
przed telewizorem
w planach na niedzielne popołudnie
drzemiącej w fotelu
w progu domu
odeszłaś cichutko
zapomniałaś mnie uściskać przed szkołą
poszłaś tak jak stałaś
w kapciach
wełnianym plecie
i okularach na czubku nosa
nic ze sobą nie zabrałaś
a przecież pomógłbym ci się spakować
tak jak kiedyś
gdy jechałaś do sanatorium
wiesz jak bardzo lubię to robić
wybrałibyśmy razem sukienki
kilka torebek
i buty te z klamrami
które tak lubisz
klapki w motyle
i korale te od dziadka
no i parasol
jakby zaczęło padać
bo wiem jak nie lubisz
deszczowych włosów

Oszukać...

chciałbym oszukać
czas
cichutko zabrać mu zegarek
schować kalendarz
tak by się pogubił
nie doliczył
nie dał rady rytmicznie
nieustanie
nieustrudzenie odmierzać
minuty zabawy
godziny snu
sekund wzruszeń
wieki nauki
kwadranse smutku
doby oczekiwania
myślę, że wtedy
zapomniałby o mojej babci...

Przystań

w domu mojej babci
tylko szept mąci ciszę
a muzyka szumi jak brzoźowy las
od drzwi wita mnie
dotyk nieba i wiśniowa konfitura
tu zawsze słyszę
jak się masz?
co u ciebie kochany?
Grzesiu kiedy tak urosłeś?
rozmawiamy o wszystkim i o niczym
a troski wysyłamy na spacer w nieznanie
uparte kłopoty topią się w herbacie z malinami
to tu jestem wyjątkowy
i tu jest mój świat
z moim bezskrzydłym aniołem
w wełnianych skarpetach

kiedy przeglądam się w okularach
zsuniętych na nos
bujany fotel mruczy jak rudy kot
a ja wtulam się w pachnący
wanilią pled
i dziękuję Bogu, że Ją ciągle mam...

Tuż... tuż

stojąc na progu dorosłości
wiercę paluchem dziurę
w całym
latam frywolnie
z beztroskim
zwiewnymi motylami
naiwnie chwytam się młodej
wolności
moje naście mnie poraziło
kurczowo trzymam się marzeń
odklejonych
do granic wytrzymałości
rozciągnąłem
cierpliwość rodziców
tato zamknął ramiona
kiedyś miękkie
ciepłe
cierpliwe
otwarte na rozcież
mama zabarykadowała
serce
wcześniej pełne dobroci
wrozumiałe
szczodre
pachnące wanilią
usiadłem zrozpaczony
teraz rozumiem
to ścieżka donikąd

Zdarzenie...

dzisiaj znów potknąłem się
o swoje słowa
a one
wyleciały ze mnie jak bomby
rzucone bez celu
wpadając w mamę
zmiażdżyły nadzieję
oczekiwania
rozerwały jej szczerze serce
rozdarły je na tysiące kawałków
chyba nie uda mi się go skleić
rykoszetem dostało się babci
mojemu aniołowi
o wróblích skrzydłach
jej ciepła dusza
ucierpiała najbardziej
poszarzała i cichutko
zapłakała
nie ominęły siostry
z impetem roztrzaskały jej
dobroduszość
siostrzana wyrozumiałość
rozsypała się jak
płatki jaśminu
na wietrze
i zrobiło mi się
straszenie smutno
bo to tylko kilka słów
a z siłą wodospadu
przybiły tych których
kocham
wyfrunęły jak czarne kruki
gromowładne pociski
i z głuchym jękiem
odebrały nam wszystkim
wiarę we mnie...
cisza boli

Jakub Rębisz, 16 lat

Godło: Młody Gniewny, Brochocin

II MIEJSCE POEZJA MŁODZIEŻ

Oda do młodości

Zgrzani gniewni podpaleni jeszcze trochę
durzeni chwilą mocną jakże chwiejną
Wielki nasz ceglany Hades ginie we mgle
Dusze słabsze od nas niech tam teraz cierpią

Mój serdeczny mnie wprowadził i pokazał
Jak na ścianie kwitną damy z naszych marzeń
Jego groźny pies wietnamski mocno szczekał
Szybko się oswoił jednak z partyzantem

Tak jak z moim psim kolegą tak i z nami
Bez ogródek szybko i bez żadnej zmayı
Może czegoś się napijesz może palisz
Tutaj nikt nie widzi więc się bracie nie wstydyź

Chyba dar przekonywania lub ma wola
Jakże silna poszła nawet na pakt z diabłem
Pilnuj się z nią jest najtwardszy każdy romans
W głowie kruszyła szkło nawet gdy kochałem

Lecz my dzisiaj zgrzani gniewni coraz bliżej
Tacy pracowici to i czas na korki
Wyruszamy do Finlandii trochę zimnej
Potem będzie znów czas na Pałacu schodki

Prężnie nie lecimy w kulki jutra nie ma
To jest smak młodości trochę zwariowanej
Jakaś już wizja ponura poznaj Jacka
Chwilę są tylko w nas nie troszcz się już jutrem

Z jego kranów płynął sobie złoty Johny
Na zaszczytnym miejscu tkwiła Panna Red
Nam przebłąski świadomości jak te bomby
Wybuchają już w nas przesywając szkielet

Zatraceni pochłonięci balem życia
Zgłębiający rynsztok tej ulicy Solnej
Dziwny biały gęsty krąży i przykrywa
Tych kulawych sumień mętny krwawy poker

Lecz z tych pięknych niewiast miasta już wychodzę
Na gniewnego czeka zmysłowa Panna „Em”
Po mym zgrzanym przyjacielu mam tę kroplę
Brozurkę naszych chwil a we łbie cudny tembr

W życiu alkoholu tak jak grzybów w lesie

Zawsze wiele chociaż serce ma potrzeby
Podfruwajka prowadzi mnie po jej piętrze
Prędko skazę chwil już piękna we mnie leczy

Zgrzani gniewni podpaleni jeszcze trochę
Oszołomieni już wielce podnieceni
Kocem namiętności zawijamy cnotę
Odczytujemy wiersz naszych zwiewnych źrenic

Jak ta spadająca gwiazda brodzę tutaj
Potem jak ten wielki potężny odkrywca
Z zakamarków wyobraźni biorę utarg
Myślom niepoprawnym zwarcie się uchylam

Wszystko dobre się zaczyna i już kończy
Za rękę prowadzi nauczyciel Hermes
Persefona bardzo dumnie tutaj kroczy
Nadal dziwny swąd jak w tym wczorajszym śnie

Estes

Gdzie dzisiaj stoisz gdzie dzisiaj znów „Estes”
Biegniesz po łące czy lecisz na krechę
Czy tam gdzie nasz kwiat już wezwałaś dziś pleśń
Ty tak słodko śpisz a ja mocniej znów klnę

W kartce schowałaś do westchnień naszych klucz
Najpiękniejszy szyfr znają go nieliczni
Z niego już popiół zapomniał naszych dusz
Lecz nie wiem po co zamknął do Ciebie drzwi

Nasze ciepłe dni najpiękniejsze noce
Stare małżeństwo nasza krótka wieczność
Tak niepokorni a zamknęli wojnę
Nie dając wytchnąć swym rozgrzanym sercom

Dziś mocniej czuję zapach kaszmirowy
Liczę Twe włosy każdy tak dokładnie
Mocniej ustawiam tych ciał splecionych szyk
Miłosna walka które z nas pierwsze drgnie

Znalazłaś dziury spaliłaś te mosty
Wysuszyłaś ją rzekę naszych zbliżeń
Uzależnienie mój twardy narkotyk
Poczułaś jesień upadłaś z jej listkiem

Lekcje tak różne mocniejsze niż w szkole
Serc egzaminy które już byt pojmie
Nauka życia by dotrzeć tam w środek
By już ucichnąć po tak żwawym sztormie

W krainie marzeń w ich własnych umysłach
Na kolano padł los wściekły odwrócił
By powiedzieć tak latali na skrzydłach
Dla niej nawet czas już wziął i przekupił

Okup za maty i za dużo zgrzytów
Spłynęli łajbą zniknęli w jesieni
On trwa na krechę czeka dalej na ślub
Może świat znowu mu się zazieleni

Ona dzisiaj już spaliła tę pamięć
Nie pamięta go rozmyta się ta twarz
Tylko urywki przytacza z tych zajęć
Bo przyszedł do niej od młodych serc lekarz

Znalazłaś dziury spaliłaś te mosty
Wysuszyłaś ją rzekę naszych zbliżeń
Uzależnienie mój twarde narkotyki
Poczułaś jesień upadłaś z jej listkiem

Gdzie dzisiaj stoisz gdzie dzisiaj znów „Estes”
Wykułaś pomnik na mojej pamięci
Czy Ty dalej lśniesz czy już w końcu jesteś
Numer ten stary zadzwoń jak zatęsknisz

W jedną stronę

Tyś podróżnikiem był gdyś ruszył w nieznane
Pamiętam że śniłeś o zamorskich bojach
Półka marzeń nikła kurz okrył Twą mapę
Wypluwałaś płuca nie chciał negocjować

Judasz pocałował w głowie zasiał pewność
Oceany żalu łez perłowe morza
Pieńko nam zamarzło wciąż kryliśmy klejnot
Radość i żałoba nam w gasnących oczach

W Twym pokoju szłocha huragan mych smutków
Choć może to morze sam wszak wiesz najlepiej
Ja tu w kroplach suchych świecą świetlę cudu
Czekam aż powieka wiadro wody wleje

To był czwarty peron tak mi powiedzieli
Rano skowyt słońca zgnite zdechłe wycie
Promienie zastygłe jak łyzy małych dzieci
Oszukany złodziej z brzaskiem krzyczał „chwycicie”

Wyruszyłeś tam w jedną stronę ciągle gnasz
Zapomniałam jak mówisz tańcz nawet pod wiatr
Wyruszyłeś tam w jedną stronę ciągle gnasz
Zapomniałam jak mówisz leć nawet pod wiatr

Nasz ostatni taniec stów wyrwa) narzeczce
Gdy szyny się śmiały dym związywał nitkę
Tam za widnokregiem jeszcze głośno szepce
Nasz miodowy miesiąc szybki stał na wichrze

Gdy kobyła czasu weszła w inny wymiar
Biały puch łagodniał spłynął w końcu z pola
Nieprzebyte szlaki kartki w oficynach
Wszędzie chciałam Ciebie zaczęłam kłusować

Nasze dziecko rośnie chociaż nie widziałam
Wojenna kolczuga świat dusz połamanych
Na te same gwiazdy starym oknem zerkam
Ty też je widziałeś choć z daleka patrzysz

Pies Twój wierny czekał ciągle stał na warcie
Niczym błędny rycerz wierzył że los przytnie
Kolejna łapanka wszyscy uciekajcie
Czy to jeszcze życie czy łyzy krokodyle

Wyruszyłeś tam w jedną stronę ciągle gnasz
Zapomniałam jak mówisz tańcz nawet pod wiatr
Wyruszyłeś tam w jedną stronę ciągle gnasz
Zapomniałam jak mówisz tańcz nawet pod wiatr

Zła jaskółka cierni przytargała wiosnę
Do lasu wieczności mrokiem skażonego

Czy to przeciąg trzaskał palcem zrodził obłąd
Sługusy zagłady ty to widzisz wierzbo

I ujrzałam Ciebie w dole żywej śmierci
Stałeś nad przepaścią czułeś to na skórze
Wyryty łez padół ile ziemia zmieści
To cisza przed gromem hardo grom wędruje

Panie Boże chroń ich wytrzymaj ustom gorzyc
Gorejące serca niech poniosą wiatry
Oczyść uszy z huków oczu z gwiazd czerwonych
Kurz salwowy potnij zasiej tulipany

Mapa twoja leży czeka aż wybuchnie
Chociaż dalej z kurzu po cichu wędruje
Palcem jeżdżę po niej delikatnym ruchem
Barwy wrócą tutaj nie dziś to pojutrze

Wyruszyłeś tam w jedną stronę ciągle gnasz
Zapomniałam jak mówisz tańcz nawet pod wiatr
Wyruszyłeś tam w jedną stronę ciągle gnasz
Zapomniałam jak mówisz tańcz nawet pod wiatr

Różaniec kamieni szmerem krzywd pognanych
Martwej ciszy płąsy troski jęku żalu
Ich wschodu czerwieni skał na wskroś rozsianych
Pieśń nad wiecznościami Matko Polsko zanuć



Anna Oleksiuk, 14 lat

Godło: Nasturcja, Rogoźnica
III MIEJSCE POEZJA MŁODZIEŻ

Kiedys będę dorosłą kobietą
czyjaś żoną
czyjaś kochającą mamą
ale może jednak nie
bo życie zdecyduje inaczej

Kiedys będę miała
piękny dom
i pracę o jakiej marzę
albo kopniak losu wyrzuci
mnie z mojej strefy komfortu

Kiedys być może zamienię
wygodne trampki na szpilki
jeansy na eleganckie garsonki
a marzenia o odkryciu Atlantydy
na pracę w korporacji
za duże pieniądze

Dzisiaj mam 14 lat
staram się iść przez życie
jak najlepszą drogą
Ściskam w dłoni biały kamień
mój amulet na szczęście
bym- kimkolwiek będę kiedyś-
pozostała w sercu
choć trochę
dzieckiem

Zebra

A kiedy jest tak,
że tylko sięć i płakać,
usiądź i zapłacz.
Bez wstydu.

Przyznaj otwarcie:
że jest ci źle!
Upchnięte w szufladzie marzenia
tracą kolor i zapach,
a w oczy wieje wiatr,
i bolą zamknięte na klucz
wszystkie drzwi i serca.

Ile w tym twojej winy?
Sporo jej czasem jest...

Spójrz w lustro!
Popatrz sobie głęboko w oczy.
Prawda, że jesteś jak zebra?
Trochę biała, trochę czarna,
trochę dobra, trochę zła...

Wyjmij z szuflady marzenia,
odkurz je dokładnie i przewietrz.
Nie bój się wiatru!
Dzięki niemu pofruniesz wysoko
i otworzą się przed tobą wszystkie drzwi!

Niedługo!

Na razie jednak po prostu wstań
i odśłoń okno.
Patrz, wstaje dzień!
Dzisiaj lub może jutro
ale na pewno zabłyśnie słońce
dla KAŻDEJ zebry na planecie Ziemia.

Haiku

Kwiecień budzi las
Biały dywan z zawilców
Nad nim kosów trel

Dziś już nie marzę
Pora żegnać dzieciństwo
Lalki poszły spać

Pora stąd odejść
Tam czeka na ciebie świat
Pusty dom płacze

Majowy słowik
W zielonej filharmonii
Muzykę tworzy

Mój tato
nigdy nie traci nadziei,
że będę w życiu kimś wyjątkowym
i osiągnę wiele.
Patrzy na mnie z pełnym wiary uśmiechem
nawet wtedy,
gdy potykam się o własne nogi.

Czasem też uśmiecha się pobłaźliwie,
kiedy widzę w nim swojego Dedala
i żłoszczę się, że nie pozwala mi
skorzystać ze skrzydeł
ukrytych gdzieś głęboko pod łóżkiem,
kiedy czekam swój pierwszy lot.

Wie, że niedługo sam przypnie mi je do ramion,
gdy tylko trochę dorosnę, zmądrzeję
i będę wiedziała,
dokąd właściwie chcę polecieć.

Mój tato
nie prawi mi morałów,
nie poucza, nie narzeka,
nie powtarza: „Za moich czasów”
albo: „Dzieci i ryby głosu nie mają”.

Z ciekawością obserwuje
moje codzienne zmagania z życiem
i choć nie usuwa mi kłód spod nóg,
nie podaje gotowych rozwiązań,
nie zawsze ociera z policzków łzy,
wiem, że nigdy nie odmówi pomocy,
gdy nie będę umiała rozwiązać
jakiegoś ważnego życiowego równania.



Karolina Majorowska, 17 lat

Godło: KaMa, Warszawa

WYRÓŻNIENIE POEZJA MŁODZIEŻ

Lew i wilk

czyli wierszyk pacyfistyczny

Motto: *Wojna nie rozstrzyga, kto ma rację,
lecz kto ma odejść.
Bertrand Russell*

Dzielny wódz, Basiosem zwany,
zawsze był nieokiełznany.
Wszystkie wilki się go bały,
zwłaszcza gdy wytrzeszczał gały.

Basiorowi zawsze było mało,
wszystkiego wciąż mu brakowało.
Chciał mieć władzę i pieniądze,
rozpierały go wszelakie rządze.

Zwołał wilki na zebranie,
choć trudne było to zadanie.
W krótkich słowach opowiedział,
czego właśnie się dowiedział:

*- Moi bracia, dzielne wilki,
nie marnujmy ani chwilki.
Czas uderzyć w lwa starego,
leniwego i niedołęznego.*

Lew był Królem od lat wielu,
uczono o tym dzieci w PRL-u.
A wilki zawsze podskakiwały,
ale lwy ich się nie bały.

Teraz Basior się zbuntował,
wszystkie wilki więc zawołał:

*- Będzie wojna między nami,
starymi lwami i młodymi wilkami.*

Kiedy wojna się już zaczęła,
to krew niewinna popłynęła.
Wiele wilków nagle ucierpiało,
rannych lwów, też nie było mało.

Z każdej strony straty były,
jednak walki długo się toczyły.
A gdy już ciemno się zrobiło,
wtedy wszystkich coś olśniło.

Młode wilki nagle zrozumiały,
że chyba wspólnie oszalały.
Walczyć z lwami to głupota
i może to robić tylko idiota.

Lwy także w porę pokumały,
że podpuścić się też dały.
Bo jaki sens walczyć z wilkami,
kiedy one nie są ich wrogami?!

To chore ambicje Basiora złego
i Króla lwa, doprowadziły do tego.
Że niewinne lwy oraz wilki się biły
i wzajemnie dużo krwi straciły.

Kiedy razem to zrozumiały,
wtedy wspólnie się dogadały.
Zrobiły to co do nich należało
i od czego ich życie zależało.

Lwy pozbyły się Króla leniwego,
wilki popędziły Basiora pazernego.
Odtąd pokój i zgoda wkoło panuje,
a każdy, każdego wzajemnie szanuje.

A morał z tego wierszyka jest taki:
- Pamiętajcie dziewczyny i chłopaki.
Na wojny, niech idą wodzowie i królowie,
a wy musicie mieć poukładane w głowie!

Bal maskowy

Motto: *Niech żyje bal,
bo to życie to bal jest nad bale, ...
Agnieszka Osiecka*

Biało wszędzie, głucho wszędzie!
Co to będzie?! Jak to będzie?!
Te pytania wciąż padają,
wszyscy stale je zadają.

Na ulicach jakoś biało,
ludzi jakby też wywiało.
W domach się poukrywali
i twarze swe pozastaliali.

Mamy wkoło bal maskowy,
może trochę nietypowy.
Chociaż maski – rozmaite,
to są chyba – jednolite.

Na tym balu są zasady,
zgodne z wytycznymi rady.
Nie ma tańców i śpiewania,
żadnych zabaw, ani grania.

Bal to przecież – nietypowy,
bo to bal – nie rozrywkowy.
To jest bal – dyscyplinarny,
bo ten bal jest – nienormalny.

TRYPTYK – FOLWARK ZWIERZĘCY 2023

Liberte, Egalite, Fraternite

/Wolność, Równość, Braterstwo/

Wolność bieżenia

Z cyklu: Folwark zwierzęcy 2023

Zapytał młody baran osła starego
o to, co gnębi go od czasu długiego:
- *Co to jest wolność, mój przyjacielu,
bo o tym mówi kolegów wielu?*

- Trudno powiedzieć, mój drogi kolego,
bo wolność zależy głównie od tego,
Kto co rozumie pod tym pojęciem
i jakim właściwie on jest zwierzęciem.

Weźmy za przykład ciebie – barana,
co beczysz sobie z samego rana.
Możesz tak beczeć w dowolnej tonacji,
bo to jest wolność w naszej demokracji.

Ale gdy zmienisz swoją narrację
i zafałszujesz właściwą tonację,
To zauważysz, że wolność jest krucha,
a twoje beczenie, niemiłe dla każdego ucha.

Jednak baranie wolnym się poczujesz,
gdy tylko do reszty się dopasujesz.
Bo wolnym jesteś, gdy pobekujesz
i innym baranom życia nie psujesz.

Równość w demokracji

Z cyklu: Folwark zwierzęcy 2023

- *Dziś o równości porozmawiamy,
która panuje pomiędzy nami.*

*To ona sprawia, że każdy ma rację
i tak budujemy naszą demokrację.*

*Zarówno duzi, a także ci mniejsi,
oraz ci głupszy i ci mądrzejsi.
Są sobie równi i wobec prawa,
bo w naszej zagrodzie to ważna sprawa.*

Tak to wyjaśnia osioł już leciwy,
który na głowie jest całkiem siwy.
Wszyscy słuchają tych słów uważnie
i myślą sobie, czy to na poważnie?!

Bo wiedzą dobrze jak tu się żyje,
że jeden cwaniak drugiego kryje.
Liczy się władza i dobre układy,
na które inni nie mają rady.

Tak myśli wielu i tak to czuje,
a zwykła większość tego żałuje.
Że długie lata w zagrodzie przeżyła
i niczego w życiu się nie dorobiła.

A pewien baran, też dość już stary
i ledwo patrzący przez swe okulary.
Spojrzał na osła i tak mu powiada:
- *W życiu jest ważna jedna zasada.*

*Równość jest wtedy, mój drogi kolego,
gdy nie wykorzystuje jeden drugiego.
Ale niestety, ten świat tak się kręci,
że słabych zawsze wykorzystują silniejsi.*

Braterstwo baranów

Z cyklu: Folwark zwierzęcy 2023

*- Braterstwo to jest ważna sprawa,
a nie jakaś podwórkowa zabawa.*

*Bo jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego
i to się w braterstwie liczy, mój kolego!*

Tak mówi z trybuny, baranom – osioł,
a głośno wtóruje mu młody kozioł.
Że w braterstwie drzemie ogromna siła,
która baranów tu dziś zgromadziła.

*- Bo gdy będziecie silni i zwarci
i tak jak ja, osioł, zawsze uparci,
To pod przywództwem kozła młodego,
możecie pokonać prawie każdego.*

*Dlatego barany, bądźcie waleczni,
a wszyscy będziemy zawsze bezpieczni.
My docenimy wasze braterstwo,
krew waszą przelaną i bohaterstwo.*

Nagle w zagrodzie wiaterką powiało,
a pośród baranów jakby zawrzało.
Wystąpił z szeregu baran kudłaty,
który stał obok swojego taty.

I wprost, zapytał osła starego,
komu potrzebne są brednie jego.
*- Bo kiedy trzeba bronić zagrody,
to kozioł z osłem szukają zgody.*

*Głoszą swe hasła o bohaterstwie,
mówią nam głośno też o braterstwie.
Myślą sobie, że my głupie barany,
będziemy walczyć z okupantami.*

*Braterstwo jest wtedy - mój stary osle
i ty też zrozum to młody kozle.
Że każda zagroda swą siłę buduje,
gdy jeden drugiego nie wykorzystuje.*

Kategoria
- proza -
młodzież



Jakub Krok, 17 lat

Godło: Santiago de Paso, Węgrzce Wielkie

1 MIEJSCE PROZA MŁODZIEŻ

Zagadka

Rodzina X wezwała do swej posiadłości Detektywa. Domostwo położone na rubieżach świata, daleko za rzekami, lasami i górami oczekiwało na przybycie tego, który rozwiąże zagadkę. Detektywa zakwaterowano w małym pokoju na poddaszu. Drewniane stopnie skrzypiały, gdy wspinał się po nich z mozołem, by dojść na górę. Okna wychodziły na zachód. Gdy dotarł na miejsce było popołudnie, do wnętrza wlewały się ostatnie słoneczne promienie, jakby chciały oświetlić mu prawdę.

Rodzinę X poznał dopiero w trakcie kolacji, przy długim dębowym stole. Małżeństwo i dzieci. Przedstawiali mu się po kolei z uśmiechami przyklejonymi do twarzy. Ich postawa wydawała się Detektywowi wyuczona. Czuł, że wciągnięto go do gry. Pan X, człowiek, którego wiek ciężko było ocenić po pierwszym fizycznym oglądzie, poprosił o niezadawanie pytań niezwiązanych z zagadką. Detektyw skinął milcząco głową, czym rozluźnił i uspokoił gospodarza. Pani X, skryta w cieniu męża, spojrzała na gościa usłużnie. Kolację spożyto w ciszy. Przybyłemu zdawało się, że wszystkie dzieci, które ciężko było zliczyć, jedzą w tym samym tempie, ze wzrokiem wbitym w porcelanowe talerze. Gdy tylko skończyły, Pan X uniósł wzrok i stanowczym głosem oznajmił: „Do pokojów!” Dzieci zerwały się w jednej chwili i zniknęły w korytarzu. Detektyw podążył za nimi do swojego pokoju, decydując się na policzenie ich w trakcie śniadania.

Rankiem nie dał jednak rady policzyć gromady, nawet gdy dzieci zasiadły przy stole. Za każdym razem, kiedy już był blisko, nagle gubił się w, tak przecież prostych, obliczeniach. Sfrustrowany poniechał tego wyzwania i cały dzień spędził na świeżym powietrzu, szukając w naturze tropów do rozwiązania zagadki. Przyroda nie zdradziła mu prawdy.

Następnego dnia, jeszcze w piżamie, udał się przed śniadaniem do toalety. Gdy wracał do pokoju, odwrócił się zaintrygowany przed wejściem na skrzypiące schody. Korytarz wydawał się krótszy, jakby wycięto z niego jakiś odcinek. Jakby jakieś drzwi zniknęły. Uśmiechnął się w duchu. W trakcie obiadu Pan X zaprosił Detektywa na wspólne polowanie. Rodziła się szansa na pozyskanie informacji. W trakcie pobytu w lesie X nie odzywał się jednak

i tylko posępnym wzrokiem wpatrywał się w dal. Nie ujrzeli, ani nie usłyszeli żadnych zwierząt. Po powrocie do domu Detektyw wspiął się do swojego pokoju i z zaskoczeniem przyjął fakt, że drzwi są zamknięte na klucz. Wrócił więc do gospodarza i przedstawił zaistniałą sytuację wyraziwszy niepokój o prywatność. Pan X zmieszany udał się z nim na górę wyciągnawszy pęk kluczy z głębokiej kieszeni i otworzywszy obiecał, że sytuacja się nie powtórzy. Detektyw spytał na odchodnym o zagadkę. Rozmówca pokręcił głową i nie mówiąc już nic udał się do swojego pokoju.

Kolejnego dnia gość odniósł wrażenie, że stół jest krótszy, a do posiłku zasiada mniej dzieci. Przemilczał ten fakt i od tej pory z wyteżonym skupieniem obserwował proporcje i liczby, którego go otaczały. Spędził południe notując przy biurku. Liczył, że rozpisując problem zagadki zbliży się do prawdy. Wieczorową porą, gdy schodził do jadalni na kolację, rozejrzał się po korytarzu ciągnącym się wzdłuż pierwszego piętra. Miał pewność, korytarz stawał się coraz krótszy. Granica konsternacji przesuwiała się w przemyśleniach Detektywa do niebezpiecznego punktu.

Rankiem, zaspany i zdezorientowany, zwlókł się na dół. Przy wejściu do jadalni zatrzymał się jednak. Przeszedł go dreszcz. Łazienka naprzeciwko pokoju dziennego zniknęła, a wraz z nią długi fragment korytarza, który jeszcze dzień wcześniej ciągnął się prowadząc wyłącznie do niej. Dom kurczył się w jego oczach. Wybiegłszy na podwórze odnotował, że na zewnątrz nic się nie zmieniło. Posiadłość wyglądała tak samo. W trakcie śniadania pozwolił sobie na podzielną się szeptem swoim spostrzeżeniem z Panem X. Ten zaśmiał się i rzekł nonszalancko, że to niemożliwe.

Detektyw podjął ryzyko próby odnalezienia klucza do wydarzeń. W odgadnięciu przyszłych zajęć doszukiwał się możliwości zbliżenia do rozwiązania zagadki. Cały dzień chodził po korytarzach rezydencji i przypominał sobie chronologicznie spostrzeżenia z poprzednich dni. Ile ich było? Cztery, pięć, sześć? Może więcej. Nie pamiętał.

Stół kurczył się, pokoje znikwały, a wysiłkom człowieka towarzyszyła bezsilność. Rodzina X, coraz mniejsza i mniejsza, zachowywała się wciąż w ten sam niezachwianie rutynowy sposób. Dom funkcjonował w oparciu o mechanizmy, których Detektyw nie pojmował. Ucieczka na zewnątrz dawała mu wytchnienie, lecz wiatr wiał coraz mniej przekonująco, słońce świeciło bardziej blade, a bujne trawy przestały rosnać. Noc nadchodziła szybko, niekiedy niespodziewanie. Rodzina X i zjawiska, które go otaczały były jednym ciałem, a zagadka pozostawała nierozwiązana. Czas płynął.

Nadszedł dzień, w którym Detektyw schodząc do jadalni zorientował się, że nie ma już korytarza na pierwszym piętrze, że nie ma korytarza na

parterze, że nie ma łazienki, do której udał się poprzedniego wieczora. Schody zaprowadziły go prosto do pokoju, w którym przy stole czekali Pan X z Panią X. Spożyli śniadanie milcząc, Detektyw o nic nie pytał. Prawda marniała w ukryciu, nikt nie mógł być dla niego pomocą. Po posiłku małżeństwo wstało. Obydwoje uśmiechnęli się serdecznie. Pan X podał Detektywowi rękę i pokiwał głową. Chwilę później zniknęli już na schodach, które prowadziły wyłącznie do pokoju na poddaszu. Gość nie spotkał ich tam jednak. Spędził dzień oglądając przez okno naturę, odseparowany od niej przez szybę i wysokość. Gdy zaszło słońce, zasnął. Rano obudził się i nie dostrzegł już drzwi. Tylko cztery ściany i okno, którego nie dało się otworzyć.

Pozostał w swoim pokoju, bez wyjścia. Sam na sam z prawdą.

Pogrzeb

Powiedzieli mi, żebym pojawił się na pogrzebie. Zgodziłem się, że to wskazane, dlaczego bowiem miałoby mnie tam nie być. Znałem go w końcu bardzo dobrze, moja nieobecność mogłaby zostać poczytana za nietakt.

Jego śmierć mnie zaskoczyła, nie spodziewałem się, że umrze tak młodo. Przyczyny wciąż pozostawały dla mnie nieznanne. Nie dążyłem zresztą specjalnie do tego, żeby zyskać tę wiedzę. Czasem lepiej dać sprawom swobodę. Niech płyną we własnym nurcie i rzeźbią swoje koryto bez niczyjej ingerencji.

Dzień przed pogrzebem noc zaczęła się wcześniej, jakby ktoś specjalnie ją przywoływał. Otulony kołdrą mroku wracałem do mieszkania, wsiałem do złego tramwaju, pomyliłem drogi. Dlaczego już wracałem? Możliwe, że powinienem jeszcze zostać i nie iść tam, dokąd ciągnie mnie rozum. Tutaj, daleko od wskazanych tras i właściwych ścieżek, prowadziła mnie intuicja. Przez kolejne ulice, na których nigdy jeszcze nie byłem. Przecinały się tworząc niejednorodną, splątana sieć, w której pętałem i wiałem się w popłochu. Byłem rybą, która schwytana przez rybaków próbuje uciec, lecz wciąż jest przecież w wodzie. Tam, gdzie nic jej nie zagraża. Moje miasto odstaniało przede mną kolejne zakamarki, które powinny być znajome, ale jedyne, co w nich odczuwałem to obcość. Ludzie przemykali chodnikami, ich twarze odbijały się nieuchwytnie od sklepowych wystaw. Nie rozpoznałem żadnej z nich. W pewien iluzoryczny sposób czułem się gospodarzem tej nocy, choć przecież byłem jedynie niechcianym gościem. Jej urok obejmował mnie przebiegle i przyciągał coraz bliżej do serca całej sytuacji.

Uciekając stamtąd nie wiedziałem dokąd powinienem pójść, dokąd w ogóle mógłbym. Nie było już przecież mieszkania. Moi przyjaciele...

Wszyscy byli zbyt odlegli, nie mogłem teraz do nich dotrzeć. Noc ograniczała mnie, puściłem się biegiem do mieszkania moich rodziców, to przecież tak niedaleko. Nie mogłem go znaleźć, błądziłem po omacku. Na ruchliwej ulicy, którą przecież znałem, złapał mnie naganiacz i wciągnął do lokalu, gdzie usiadłem sam pod ścianą. Cerata położona na stole lepiała się do moich dłoni, za barem nie było nikogo, wołałem długo, by ktoś się zjawił i mnie obsłużył. Gdy się obróciłem, wszystkie miejsca opustoszały, pozostałem tylko ja. Wybiegłem z baru i nabrałem pewności, że przecież pogrzeb wcale nie odbędzie się za dnia, przecież ma się odbyć w nocy, już jestem spóźniony. Wpadłem na przystanek, z którego wszystkie tramwaje jechały dokładnie na cmentarz. Wsiadłem, maszyna pognała nie zatrzymując się nigdzie, by w końcu dotrzeć na miejsce. Tak, wszystko się zaczęło. Ogarniał mnie wstyd, jak mogłem się spóźnić. Tak zależało mi na tym, żeby się pojawić, a teraz, wobec tych wszystkich ludzi, musiałem zdawać się człowiekiem bez honoru. Martwiłem się tym położeniem, nie powinienem był przeoczyć godziny, wszyscy uznają mnie za oszusta, szarlatana bez żadnych wartości. Ujrzałem ich późno, odziani na czarno stali w ciemnościach, stanowili integralną część funeralnego krajobrazu. Przeciskałem się między nimi, reagowali milczeniem pełnym pogardy. W moich oczach zjawiły się łzy. Zapłakałem gorzko czując na sobie ich niechętnie, pełne odrazy spojrzenia. Położyłem się w pustej, otwartej drewnianej trumnie i pozwoliłem by mnie zamknięto i spuszczone trzy metry pod ziemię. Na końcu słyszałem tylko szorstki dźwięk ziemi przysypującej oszlifowane drewno.

Pomnik

Zgłosiłem się do finansowanego przez państwo projektu ulokowania pomnika. Byłem poślednim robotnikiem i przypisano mnie natychmiast do zespołu budowlanego. Architekt posągu był człowiekiem średniej postury, żwawym. Polecenia wydawał głośno i bez chwili wahania. Za sprawą przedsięwzięcia już w pierwszych dniach przybyło mu wiele siwych włosów.

Postument miał być osadzony w centralnym punkcie miasta, jako jeden z „nowych symboli” ujętych w projekcie odnowy kulturowej i tożsamościowej, uchwalonym niedawno przez władze. Architekci biorący udział w konkursie prezentowali komisji koncept pomnika w temacie „Pamięci bitwy pod L.” Nie znam zbyt dobrze historii, nie interesowały mnie wydarzenia pod L. i ich kontekst. Projekt przyjąłem raczej obojętnie, bez zbytnych dociekań. Przystąpiliśmy do prac z niewielkim opóźnieniem i po nieznacznym upływie czasu produkt był gotowy do odbioru.

Dowiedziałem się wówczas, że niedawno zmieniła się władza. Drobnym, gabinetowym przewrót, który umożliwił modyfikację planów gospodarowania przestrzenią publiczną. Na odbiór naszego pomnika przyszedł nowy inspektor. Oglądając efekt, z oburzeniem oznajmił, że całość należy przekształcić, ponieważ nie godzi się wyjść do miasta z dziełem o takim przesłaniu. Architekt, skonfundowany i niepokieszony, przystąpił do przemodelowania swojego projektu, by następnie oddać go nam w nowej formie. Zmiany miały zasadniczo charakter dość błahy. Należało wnieść poprawki do paru gestów wykonywanych przez przedstawionych na postumencie wodzów oraz wyrzeźbić na twarzach inne grymasy i bardziej przymrużone oczy. Wątpiliśmy, czy zaproponowane zmiany będą miały istotnie silny wpływ na przekształcenie sfery ideologicznej projektu, ale nikt nie wykazał się wystarczającą odwagą lub chęcią, by zadać odpowiednie pytanie przełożonym.

Przygotowanie nowego pomnika zajęło nam trochę czasu. Pracowaliśmy wyjątkowo skrupulatnie, żeby jakość wykonania nie budziła u nikogo żadnych wątpliwości. Na parę dni przed ukończeniem nowej wersji posągu, znów zmieniła się władza, ku zaskoczeniu wielu z nas. Nowy inspektor przybył na oddanie projektu zaskoczony, że takie przedsięwzięcie jest wciąż realizowane. Twardym głosem zakazał dalszych prac przy pomniku i przyniósł z urzędu dokumenty nakazujące utylizację dotychczasowych wyników naszych poczynań. Nie mogliśmy podważyć tej decyzji, lecz wzbudziła ona u nas lekkie poruszenie. Okazało się, że nie powinno się mówić o bitwie pod L., jest to bowiem obarczone wysokim ryzykiem narastania nastrojów kontrrewolucyjnych. Argumenty brzmiały przekonująco, więc w parę dni wyburzyliśmy w drobny mak wszystkie elementy składające się na pomnik.

W następnych latach porzuciłem pracę w branży i założyłem sklep z artykułami spożywczymi, który umożliwiał mi utrzymanie się na powierzchni. Nadal nie interesowałem się historią, polityką również. Zadziwiła mnie wieść o powrocie do władzy sił, które zleciły nam kiedyś budowę pomnika. Zachowywałem neutralny i niekonfliktowy stosunek do większości polityków. Pewnego dnia wezwano mnie do sądu, gdzie postawiono mi zarzuty o dewastację dóbr narodowych najwyższego szczebla. Stanęliśmy wszyscy przed trybunałem i skazano nas na śmierć za udział w zbrodniczych działaniach reżimu.

Wyrok wykonano na placu przeznaczonym pod ulokowanie naszego pomnika.

Tragiczny los marszałka Ney

Podania głoszą, że 18 czerwca 1815 roku w prowincjonalnej niderlandzkiej miejscowości Waterloo francuski marszałek Michel Ney szukał śmierci. Pomimo usilnych starań nie udało mu się jej znaleźć. Fakt ten niechybnie uznać należy za osiągnięcie, wszak w trakcie stu napoleońskich dni śmierć była żywiołem obecnym, zbierała owocne żniwo. Marszałek Ney pomimo swojej brawury i szokującej odwagi nie zszedł tego upalnego dnia do otchłani.

Może już wówczas skazano go na inny los? Może magiczna siła chroniła go na polu bitwy, by dłużej świadczył o wielkości Francji suwerennego ludu? 4 grudnia Francuzi osądzili męża stanu winnym zdrady stanu. 20 listopada 1815 roku marszałek Ney urodzony w Saarlouis okazał się być Niemcem, co udowodniał prawnik. Oskarżony postawił się próbie obrony i przypieczętował swój pluton. Pozostał Francuzem.

7 grudnia późną jesienią, ciemnego i mroźnego dnia, w okolicy Ogrodów Luksemburskich odziany czarno marszałek stanął naprzeciw Białego Terroru, zabronił wiązania sobie oczu i wydał ostatni rozkaz.

Żołnierze! Kiedy dam rozkaz do wystrzału, strzelajcie prosto w moje serce. Czekajcie na rozkaz. To mój ostatni. Nie zgadzam się z wyrokiem skazującym. Walczyłem w stu bitwach dla Francji i w żadnej przeciwko Niej... Żołnierze, ognia!

Na obrazie Jean-Léon Gérôme'a cylindrowaty kapelusz leży na ziemi przykrywając błoto, obok swego rozstrzelanego właściciela. Nakrycie głowy okrywa ziemię, do której wrócił marszałek. Może więc nadal go chroni? Pluton odchodzi w dal zostawiając marszałka na mokrej glebie. Na podziurawionym wystrzałami kul murze widnieje niewyraźny napis.

„Niech żyje cesarz!”



Dlaczego mamy zjawisko dnia i nocy?

Na samym początku, tuż po stworzeniu ogromnej wyspy spoczywającej na bezkresnym oceanie, zwanej przez bogów i ludzi Galaktyką, pieczę nad nią sprawował mądry i stary bóg słońce – Solian. Był on bardzo odpowiedzialny, gdyż tuż po narodzinach zajął swoje miejsce na złotej chmurze unoszącej się pod nieboskłonem. Owa chmura była zarówno gwoździem do trumny boga słońca, gdyż z dnia na dzień niżała ona swoje położenie, zbliżając boga Soliana do bezkresnego oceanu, który otaczał Galaktykę ze wszystkich stron. Wiedział on, że w momencie, w którym wpadnie w wodną toń, zgaśnie jego boski blask. Owa chmura była również powodem jego dumy, ponieważ gdy na niej siedział, oświetlał nie tylko Galaktykę, dzięki czemu umożliwiał ludziom życie, lecz także świat bogów, który bez jego wspaniałego blasku popadłby w chaos, przez co równowaga wszechświata zostałaby zaburzona. Wiedział o tym doskonale Somniumis – bóg snu, który pewnego razu chcąc zrobić prezent swojemu bratu – Mortemusowi, który był panem i władcą śmierci, spowodował Wielką Wojnę Bogów, podczas której Mortemus zebrał obfite plony.

Wszystko zaczęło się w Cirrusie, czyli boskiej krainie znajdującej się wysoko w chmurach, tak wysoko, że ludzkie oko nie było w stanie tam dotrzeć. Wśród tych chmur znajdowało się pięć pałaców. Każdy z nich był pięknie wykonany i każdy był stworzony z czegoś innego. Istniało wiele bogiń i bogów, którzy odpowiadali za przeróżne zjawiska, jednak czterech z nich było najważniejszych. Władali oni mocami czterech żywiołów: ziemi, ognia, wody i powietrza. Każdy z nich miał oddzielny pałac spoczywający na sklepieniu utkany z chmur, zwieńczającym granice ludzkiego świata.

Pierwszym z nich był Terrous. Był to bóg o bardzo specyficznym charakterze. Wszystko postrzegał jako rzeczy niemające większego wpływu i znaczenia. Z góry do wszystkiego nastawiony był negatywnie i prawie zawsze pozostawał przy swoim zdaniu. Gdy komuś jednak udało się na niego wpłynąć, co było rzeczą niezwykle trudną, mógł być pewny, że nikt już jego decyzji nie zmieni. Pałac jego wydrążony był w bloku skalnym poprzedzianym warstwami ziemi. Przypominał on wieżę, której kondygnacje zbudowane były

ze wszystkich rodzajów ziem, obudowanych zewsząd kamieniem rzeźbionym najpiękniej w świecie.

Drugim bogiem był Ignissus, ten natomiast był bardzo porywczy i chaotyczny. Rzadko kiedy myślał dokładnie nad tym, co za chwilę zrobi lub powie. Pałac jego nieprzerwanie od tysięcy lat płonął żywym ogniem. Ściany owego pałacu, zbudowane z żarzących się węglanych bloków, oślepiały wszystkie istoty, które nie były przyzwyczajone do takiego widoku.

Następnym bogiem była bardzo cicha i skryta Aquaria. Mało z kim rozmawiała i, w przeciwieństwie do Ignissusa, zawsze długo myślała, zanim coś uczyniła. Dzięki temu zarówno jej pomysły, jak i wypowiedane przemyślane słowa były w stanie rozwiązać każdy problem. Pałac jej skonstruowany był ze ścian, które niczym wiecznym płynące wodospady, budowały niesamowitą świątynię.

Ostatnim z bogów, mających panowanie nad żywiołami, była Ventusia, która była bardzo mściwa, a jedyne czym się kierowała, to własny zysk. Pałac jej był najdziwniejszym ze wszystkich ze względu na niezwykłą konstrukcję. Był on na w pół przezroczysty, a jego budowa opierała się na przepastnej, zdobionej szlachetnymi kamieniami sali, o niezliczonej liczbie drzwi. Za każdymi drzwiami wiał boski i potężny wiatr, który prznosił do innego pomieszczenia unoszącego się pod nieboskłonem, łączącego się z innymi, za pośrednictwem tego oto magicznego wiatru. Niezliczona zatem liczba komnat tej budowli krąży wciąż pchana przez żywioł, nad którym pieczę stanowi Ventusia.

Piąty pałac zdobiący świat bogów był największym ze wszystkich, a zrobiony był z lśniących pereł. Był tak ogromny, że mieścił w sobie komnaty przeznaczone dla wszystkich pozostałych bogów, od potężnych, takich jak Plantisjun, który władał mocą roślin, po mniejszych takich jak Pulvisin, odpowiedzialny za kurz. Ów pałac miał niezliczoną ilość kondygnacji, a wykonany był tak wspaniale i kunsztownie, że chyba nikt, z wyjątkiem zawsze ponurego i smutnego Tristitiana – boga nieszczęścia, nie mógł wymarzyć sobie wspanialszego domu. W całym tym gmachu znajdował się jeden pokój wypełniony złą mocą, chęcią mordu i waśni. Była to komnata najbliższego brata śmierci – snu. Ów bóg snu pewnego razu zakradł się do pałacu najpotężniejszej z czwórki bogów żywiołów – królowej Ventusii. Począł, aż ta uda się na spoczynek, a gdy już się położyła, Somniumis użył swojej boskiej mocy i uśpił Królową wiatru. Gdy to uczynił, wpełznął do jej głowy zmaconym snem i przejął nad nią kontrolę. Bogini Ventusia, pod panowaniem Somniumisa, wypadła z pałacu i za pomocą swojej mocy stworzyła ogromne tornado, które zesłane na Galaktykę, rozbiło ją na osiem części. Dwie z nich, potem

nazwane Mercury i Wenus zbliżyły się do boga Soliana tak blisko, że wyschły, a ludzie tam przebywający odeszli prosto w szpony najbliższego brata snu – śmierci. Inne dwie wyspy nazywane przez ludzi potem Uran i Neptun, zostały zalane wodą z otaczającego je oceanu, a z powodu oddalenia się od Soliana, zamarzły. Kolejne wyspy zostały przewrócone do góry nogami, pozostawiając na powierzchni jedynie skalne pustkowia, niegdyś znajdujące się pod wodą, nazwane potem Mars i Jowisz. Kolejnym ogromnym odłamem Galaktyki był Saturn, wokół którego tornado krąży po dziś dzień, sprawiając wrażenie, jakby na tę wyspę nałożony został pierścień. Wreszcie jedyną, ostatnią wyspą oszczędzoną cudem przez tajfun, była Ziemia. Gdy wszyscy bogowie spostrzegli spustoszenie, którego dokonała Ventusia schwytali ją i zagrozili karą śmierci. Przerażony Somniumis wyskoczył z jej głowy i chciał czym prędzej uciec, lecz został schwytany. Gdy to się stało, wszystko było jasne i nikt z wyjątkiem Mortemusa nie miał wątpliwości, co do winy boga snu. Somniumis został skazany na karę śmierci, lecz jego brat, Mortemus, nie pozwolił na to. Po bardzo długiej naradzie zdecydowano połączyć moce wszystkich bogów i stworzyć niezniszczalne kajdany, za pomocą których zakuto i uwięziono na dnie oceanu boga snu. Mortemus подарował Somniumisowi na pamiątkę jeden ze swych atrybutów, ludzką czaszkę zrobioną ze srebra. Miejsce, w którym Somniumis spoczął, nazwano Wodą Otchłani.

Przez tysiące kolejnych lat panował pokój i wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie zbliżający się, nieunikniony koniec Soliana. Złota chmura bowiem już niemal dotykała tafli wody. Pocziwy bóg słońca zawołał do siebie Ignisusa, pod którego czujnym okiem dorastało dwóch potomków jedyne boga, którego ludzkie oko mogło zauważyć.

– Co się dzieje Solianie? – zapytał bóg ognia.

– Ignisusie! Jak widzisz moja chmura niedługo rozplynie się, a mnie spotka to, co nieuniknione – odrzekł sędziwy bóg słońca. – Powiedz, proszę, czy uczyłeś moich synów jak mają korzystać z mocy ognia, bez której nie poradzą sobie z oświetlaniem boskiego Cirrus i Ziemi, czyli jedynej wyspy na której żyją ludzie? – spytał Solian.

– Oczywiście. Uczą się bardzo szybko, a sztukę nieustannie płonącego ognia opanowali do perfekcji – odparł Ignisus. – Flamer uczy się bardzo chętnie i z wielkim zapałem, lecz jego brat Luxio często ucieka z lekcji i nie traktuje ich poważnie – dodał po chwili bóg ognia.

– Przyślij więc ich do mnie czym prędzej – odpowiedział Solian. – No i żegnaj Ignisusie. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś – dodał i zamknął oczy. Po chwili dwójka słonecznych braci sunęła nad powierzchnią bezkresnego oceanu, który za chwilę miał się stać grobem dla ich ojca. Gdy

Solian ujrzał swych synów, na jego starej i zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech.

- Witajcie, Flamerze i Luxio! – powiedział bóg słońca.

- Witaj, ojczule! – odparli zgodnie bracia.

- Zanim dokonam żywota, chcę wam powiedzieć, że wierzę, iż podołacie tak ciężkiemu i odpowiedzialnemu zadaniu, jakim jest oświetlanie wszechświata – powiedział Solian.

- Podołamy! – wykrzyknął Flamer, a Luxio przytaknął mu z niezadowoleniem wymalowanym na twarzy.

- Żegnajcie moi synowie – rzekł bóg słońca. – Zapomniałbym o jeszcze jednej ważnej rzeczy! Musicie uważać, nie zbliżajcie się do Wody Otchłani, bo...

Nie zdążył wypowiedzieć ostatnich słów, nim jego złota chmura rozplynęła się, a on zanurzył się w wodzie, gasnąc już na wieczność. Żłocistożółte ciało wspaniałego Soliana pogrzebane w morskiej toni rozbiło się na miliony kawałeczków. Na szczęście do braci przybył Ignisus.

- Ignisusie, co mamy robić? – spytał Flamer.

- To, czego was nauczyłem i to, co robił Solian – powiedział bóg ognia.

- Dobrze – odparł Flamer, wzbił się w powietrze i usiadł na chmurę, która w mgnieniu oka zmieniła swój kolor na złoty.

- Macie szczęście, że jest was dwóch – powiedział Ignisus. – Możecie się zmieniać co jakiś czas, dzięki czemu, gdy jeden będzie sprawował pieczę nad oświetlaniem wszechświata, drugi będzie mógł odpocząć – dodał po chwili, pożegnał się z potomkami Soliana i odleciał.

- To co? Kto pierwszy będzie pełnił swoją powinność? – spytał Flamer.

- Ty. Skoro i tak jesteś u góry, to już tam zostań i rób swoje – odparł drwiąco Luxio i powoli oddalał się od brata.

- Czekaj! Dokąd idziesz!?! – krzyczał Flamer.

- Idę sprawdzić, co to jest ta Woda Otchłani – odparł Luxio i popędził w stronę tego straszego miejsca.

- Nie! Nie! Nie możesz! – nadaremnie krzyczał Flamer.

Wiedział on, że nie może zejść z chmury, dopóki ktoś inny nie zasiądzie na jego miejscu i nie będzie oświetlał wszechświata. Nie mógł nic zrobić, więc wzywał wszystkich bogów, jak najgłośniej potrafił, lecz nikt go nie słyszał.

Aquaria akurat przechadzała się po powierzchni wody, gdy nagle zobaczyła Luxio, lecącego w przeciwnym kierunku niż słońce. Postanowiła sprawdzić, dokąd się on uda i podążyła za nim.

Luxio pędził przed siebie, aż dotarł do miejsca zwanego Wodą Otchłani.

Miejsce to było kamiennym kręgiem, wolno obracającym się i unoszącym

nad powierzchnią wody. Zbudowany był on z kamieni połączonych ciemną energią, czarną jak smoła, która pełzła po kamiennych blokach jak stado insektów, to odślaniając skalne wypustki pierścienia, to pogrążając je w ciemności. Nad owym kręgiem, niby parasol unosiły się czarne chmury zrzucające z siebie drobinki mgły, które tworzyły gęsty obłok, w którym co jakiś czas błyskały wiązki ciemnej mocy.

Większość bogów zapewne niechybnie zgubiłaby się, ze względu na panującą tam ciemność, lecz nie Luxio, który za pomocą swej boskiej mocy rozświetlał sobie drogę. Gdy dotarł w sam środek kamiennego pierścienia, usłyszał niewyraźny i ledwo słyszalny, lecz ostry i przenikliwy szept. Gdy spojrzął na taflę wody, ujrzał w niej oblicze jakiejś dziwnej postaci podobnej do niego samego.

Owa postać wyglądała jak Luxio, lecz pozbawiona była blasku, a jej twarz zamiast złocistej jak bursztyn była barwy bardzo bladej, wyglądała wręcz jak zrobiona z kamienia, naznaczona licznymi bruzdami. Zszokowany i zaciekawiony Luxio, chcąc przyjrzeć się lepiej temu odbiciu, zbliżył się do jeszcze spokojnej tafli wody.

Gdy już niemalże dotykał tego zwierciadła, spod jego powierzchni błyskawicznie wynurzyły się dwie ręce, które zagłębiły swe długie szpony w czaszce Luxio i zagłębiały się coraz bardziej. Ręce te wyglądały jak ramiona szkieletu z znajdującymi się gdzieś tam pozostałościami boskiego ciała boga snu, którego istnienie pewnie żywioł wody dawno już by pochłonął, gdyby nie chęć zemsty utrzymująca przy życiu te szczątki odziane w odarte kiedyś piękne szaty. Luxio starał się walczyć z ciągnącym go ku strasznej wodzie Somniumisem. Lecz bóg snu wyciągał swe okropne i długie ramiona, przyciągając do siebie potomka Soliana. Po chwili strasznej szamotaniny, która zarówno dla ofiary, jak i sprawcy straszego cierpienia zdawała się wiecznością, Luxio opadł z sił i zanurzył się w wodzie, a jego boski blask zgasł. Z pary, która powstała w momencie śmierci Luxia, zrodził się bóg oparów i chmur – Nubesios. Gdy ciało Luxia znalazło się w objęciach Somniumisa, zmieniło się w istotę wyglądającą jak postać, którą Luxio ujrzał tuż przed śmiercią w morskiej toni.

Blask zgasł, zniknęły płomienie, a na twarzy, teraz wyglądającej jak głaz, poprzecinanej przez liczne bruzdy i kratery, których sprawcą były szpony Somniumisa, malowało się zmęczenie, smutek i strach. Bóg snu wpełznął do ciała Luxia i przejął nad nim kontrolę, a gdy to uczynił, krzyknął z całej mocy:

– Jam jest Luna! Jam jest bóg snu i ciemności! Jam jest mściciel Somniumisa!

– Stój, Somniumisie! Już dość krzywd wyrządziłeś bogom! – wykrzyknęła Aquria, która właśnie dotarła do Wody Otchłani, podążając za śladem

Luxia. Wtem Luna i Nubesios połączyli siły w walce z Panią wody. Bóg chmur wytworzył gęstą mgłę, która niczym liny skrępowała Aquarię, a następnie Luna położył rękę na jej czole i zaśpiewał:

– „Satyricon, bonam noctem. Sequi me. Satyricon, bonam noctem.” – co znaczyło: „Dobranoc, dobranoc. Chodź za mną. Dobranoc, dobranoc.”

Po tych słowach Aquaria straciła blask w oczach i wstała bezładnie, wyglądając jakby nie miała panowania nad swym ciałem.

– Pomścimy mnie! Pomścimy Somniumisa! – wykrzyknął Luna, a w ślad za nim Nubesios i owładnięta przez moce snu Aquaria, po czym wszyscy trzej skierowali się do boskiego Cirrus.

Nie minęło wiele czasu nim Luna tam dotarł, a niebo, które znajdowało się wokół niego, zmieniało się w ciemność. Somniumis w zniekształconym ciele Luxio wtargnął do perłowego pałacu. Wszyscy bogowie byli tak zszokowani, że tylko patrzyli się na niego i bezwładnie unoszącą się za nim Aquarię, wokół której nieustannie latał Nubesios. Luna, nieprzejmujący się zdziwionymi spojrzeciami bogów, sunął powoli przez korytarz, rozsiewając wokół mrok. Gdy wreszcie dotarł do drzwi komnaty swego brata, zapukał.

– O co chodzi? – zza drzwi dobiegł go głos Mortemusa.

– O zemstę. O zemstę za moje cierpienie. Cierpienie twego brata Somniumisa – odparł Luna głosem przepełnionym żalem, złością i wzruszeniem. Na te słowa drzwi otwały się, a bóg śmierci stanął jak wryty na widok istoty podającej się za jego brata.

– Nie poznajesz mnie? – wychrypiał Luna i podał bratu srebrną czaszkę, którą zachował przez ten cały czas. W tym momencie wzruszony Mortemus przytulił się do swego brata, a wszyscy pozostali przebywający tam bogowie poczęli krzyczeć z przerażenia, nie mogąc uwierzyć w to, że Somniumis przeżył i uwolnił się z Wód Otchłani.

– Bracie! Mam do ciebie jedną prośbę – powiedział Luna.

– Dla ciebie wszystko – odparł Mortemus.

– Napełnij tę srebrną czaszkę całą swoją mocą śmierci, mordy i zniszczenia – powiedział Somniumis, dobrze zdając sobie sprawę z potęgi czaszki, która napełniona mocą boga śmierci, mogła unicestwić niemal wszystko i wszystkich.

Na te słowa Mortemus ścisnął z całych sił czaszkę, która zabłysnęła bladym światłem, a w jej oczodołach poczęła tlić się czarna jak sadza ogień.

– Aquario, zwołaj wszystkich bogów w sali obrad i każ im czekać na me przybycie – powiedział Luna.

Na wezwanie Aquari przybyli wszyscy z wyjątkiem Ventusii. Bogini wiatru, właśnie chwilę przed przybyciem Luny, postanowiła udać się do Flamera. Frunęła ona nieboskłonem rozświetlonym ogniem ostatniego boga słońca,

zastanawiając się, co dzieje się po przeciwległej stronie widnokregu, gdyż rozciągała się tam ciemność. Po chwili dotarła do Flamera, który opowiedział jej o tym, czego dopuścił się Luxio. Zszokowana Ventusia nie wiedziała, co powinna zrobić, gdy nagle ujrzała ogromną, białą, nieregularną kulę otoczoną gęstymi, czarnymi obłokami, unoszącą się nad perłowym pałacem w Cirrus. Był to Luna, który pochłonął dusze wszystkich istot zabranych wcześniej na zawsze przez Mortemusa. Wszystkie życia, wysrane z niegdyś żywych organizmów, dały mu nieopisaną siłę, natomiast ogromnym czarnym obłokiem był Nubesios.

Gdy Luna znalazł się dostatecznie wysoko, zrzucił lśniąca, srebrną czaszkę na perłowy pałac, w którym znajdowali się wszyscy bogowie z wyjątkiem Ventusii. Czaszka, po zetknięciu się z murami pałacu, wyrzuciła ze swego wnętrza tysiące płomieni, które strawiły zarówno pałac, jak i ciała oraz dusze wszystkich bogów. Po chwili z popiołów poczęły wynurzać się małe świecące punkciki. Najpierw było ich sto, potem tysiąc, aż wreszcie nie dało ich się zliczyć. Owymi punktami były części perłowego pałacu, zawierające w sobie istnienia i dusze bogów. Każda z nich świeciła, czym chciała rozjaśnić mrok panujący wokół ich oprawcy. Owe świecące punkty, nazwano potem gwiazdami, a jednej dającej największy blask nadano miano Gwiazdy Polarnej, która symbolizowała duszę Mortemusa – boga zabitego przez własnego brata. Zdziwiony Luna zaczął uciekać i co jakiś czas używać swych mocy, które pograżały w śnie gwiazdy. Starał się on w ten sposób pozbyć problematycznych gwiazd, lecz zamiast tego wzmacniał tylko gniew i żal duszy bogów uwięzionych w perłowych gruzach pałacu.

Luna nakazał Nubesiosowi przesłonięcie blasku Flamera. W ten właśnie sposób dwaj bracia, będący zupełnymi przeciwieństwami, przeszkadzali sobie nawzajem. Jednemu zależało na utrzymaniu wszechświata w wiecznym blasku, drugiemu na jego zdławieniu. Ciemność rozświetlały gwiazdy i Flamer, a blask przesłaniał Nubesios i Luna roztaczający wokół swą złą aurę. Ventusia nie myśląc wiele, stworzyła za pomocą swych mocy wiatru, ogromny wir, który wciągnął w siebie Flamera i Lunę.

Bogini Ventusia przypłaciła życiem stworzenie tego dzieła, dającego wszechświatowi pozorną równowagę, które to dzieło, dzięki cyklicznym zmianom położenia dwóch przeciwstawnych bogów, sprawia wrażenie nieustannej walki o władzę nad niebem i wszechświatem. Potomkowie Soliana od tamtej chwili po dziś dzień krążą w wirze, tworząc zjawiska dnia i nocy.

Anna Szczepaniak, 16 lat

Godło: Drozd, Ostrowiec Świętokrzyski

III MIEJSCE PROZA MŁODZIEŻ

Róża i prawdy życiowe

Księga I Poranek

Poranne promienie słońca spowijały skropione rosą chabrowe łąki. Unoszący się aromat polnych kwiatów zachęcał miododajne pszczoły do ucztowania na łonie natury. Dźwięk ich skrzydeł, połączony ze śpiewem ptaków i szumem brzoźowych liści zbudził młodą, piękną Różę o świcie. Jej blade, delikatne lico nadawało niezwykłego uroku dworowi Staropolskich. Otworzyła duże, szafirowe oczy i rozejrzała się po sypialni. Kąciki jej ust gwałtownie podniosły się do góry po ujrzeniu wytwornej, zjawiskowej sukni, uszytej z muślinowej, ciemnoczerwonej eleganckiej tkaniny. Na samą myśl o dzisiejszym balu przechodziły ją dreszcze.

Zerwawszy się z łoża, żwawo ruszyła do ogrodu, gdzie trwały przygotowania na przybycie gości. Śpiesznie przemierzając krużganki, bosą stopą zawadziła o spoczywającego na ziemi charta cioci Mirosławy i runęła na zimną, marmurową podłogę. Zbulwersowane zwierzę chwyciło za szatę dziewczyny ostrymi zębiskami i zaczęło ciągnąć pełną lęku Różę po dworskich korytarzach. Tragizm tej sytuacji dojrzał koniuszy Zbyszko, który natenczas zaprzęgał konie mające ciągnąć powozy z ważnymi osobistościami, jakie przybyć miały na dzisiejszy bal.

– Kłaniam się nisko, a dziś wręcz bardzo nisko, waćpanno! – powiedział z uśmiechem Zbyszko, pomagając dziewczynie wstać.

– Racz zabrać to niewychowane psisko! – krzyknęła oburzona Róża.

– Czy waćpanna uważa leżenie na krużganku za objaw niewychowania?

Róża oblała się karmazynowym rumieńcem, wyrwała dłoń z uścisku koniuszego i nadaśana ruszyła już nieprędkim krokiem w stronę ogrodu. Mimo poczucia zawstydzenia nie traciła humoru i przemierzała z zachwytem strojne ścieżki wirydarza. Zamyślona natknęła się na ciotkę Mirosławę.

– Odzienie dość odważne na dzisiejsze czasy – rzekła ciotka, mierząc wzrokiem jej podartą suknię. – Czy to już wersja wieczorowa?

– Skądże, cioteczko, to sprawka twojego czworonożnego przyjaciela.

- Mniemam, że ten spektakularny upadek widział cały dwór - roześmiała się ciotka. - Dostrzegłam również, że z opresji wybawił cię nasz nadworny koniuszy.

- Ni słowa o tym kawalerze, cioteczko!

- A czemuż to, kochana? Wszak to niezwykle honorowy i oddany krajowi młodzieniec. Jego zasługi w ostatniej bitwie chwalone będą przez lata. Tak dzielnego wojaka rzadko spotkać. Na dzisiejszej uczcie twój ojciec wręczy mu tytuł szlachecki, gdyż to właśnie dzięki jego odważnym decyzjom nie utraciliśmy granic naszej umiłowanej Rzeczypospolitej. Sam król uważa jego zasługi za nader ważne dla ojczyzny.

Róża słuchała z uwagą, a serce biło jej coraz mocniej. Nie chciała, by ciotka spostrzegła drżenie jej rąk oraz błysk w oczach, więc grzecznie zmieniała temat.

- A czy cioteczka da wiarę, że na dzisiejszej uczcie pojawią się książę Bogumił Stach Ponury i hrabia Konstanty Kazimierz Kaczor? Ojciec liczy na zaślubiny moje z którymś z waszeciów. Czy cioteczka miała okazję poznać tych kawalerów?

- Miałam, i myślę, że i książę Ponury, i hrabia Kaczor dostarczą ci dość rozrywki na dzisiejszym balu. Lecz, czy godni będą twej ręki, droga Różo, to serce musi już zdecydować. Tymczasem udaj się do komnaty i odziej balową suknię.

Róża dygnęła na pożegnanie i udała się skocznym krokiem do swojej sypialni. Panna pokojowa Matylda czekała już, aby nałożyć dziewczynie pięć warstw halek, a na nie muslinową szatę ściśniętą pozłocanym gorsetem. W tej bajecznej kreacji Róża czuła się jak prawdziwa, kwitnąca róża, choć mogło to być też spowodowane zbyt ciasnym wiązaniem sznurówki. Służka nałożyła panience pudermantel, odświeżyła modną fryzurę i posypała fiołkowym pudrem. Na skórę twarzy nałożyła bielidło, musnęła policzki różem i delikatnym barwidłem usta. Róża z zachwytem przeglądała się w lustrze. Wychodząc skropiła ciało pachnidłem, którego flakonik stylizowany był na małe, gustowne wiaderko.

Księga II

Bal

Słońce promieniami otaczało staropolski dwór. Główną aleją nadjeżdżały karoce i słychać było chichot rozbawionych dam. Róża stała u boku ojca, witając biesiadników. Kątem oka spoglądała na koniuszego, któremu gratulacje składał nawet pleban, a reszta gości dziękowała za poświęcenie dla kraju. Jedynie hrabia Kaczor i książę Ponury przeszli obok z uniesionymi głowami, witając się tylko z dziewczyną i jej ojcem. W tej oto chwili ekscytacja Róży

związana z poznaniem przyszłego męża opadła jak ptactwo trafione śrutem na porannym polowaniu ojca. Książę Ponury okazał się podstarzałym, łysiejącym fircykiem z sumiastymi wąsami, które co chwilę unosił w nerwowym tiku. Dziewczynie jawił się jako teatralna marionetka i nie miał krzty wspólnego z jej wyobrażeniem o księciu z bajki. Hrabia Kaczor natomiast od progu rozpoczął przechwałki o swym ogromnym majątku, co przy jego karłowatej posturze i zbyt obszernym kontuszu było co najmniej karykaturalne. Uśmiech zniknął z twarzy Róży w momencie, gdy zdała sobie sprawę, że będzie musiała, zgodnie z wolą ojca, wybrać któregoś z tych absztyfikantów na męża.

- Waćpanna przodem - rzekł koniuszy wyrывая Różę z zamyślenia.

- Zatem czyń swą powinność i prowadź - szepnęła z przekąsem dziewczyna.

Zasiedli do jednego z suto zastawionych stołów. Ku ucieście panny na przeciw miejsca zajęli koniuszy, ojciec i pleban. Wybawiło to dziewczynę od niezręcznych spojrzeń adoratorów. Nadworny kuchmistrz czytywał listę potraw przygotowanych na dzisiejszą wieczerzę. Wszyscy podziwiali kunsztowny serwis, którego cztery części przedstawiały cztery pory roku. Służba napełniała antałki miodem i staropolskim winem. Do mis rozlewano chłodnik litewski, a na tacach układano gorące combry i stosy ptactwa. Mięś wszelakich był wielki dostatek. Woń świeżo okadzonych pieczeni zachęcała do spożycia, co widać było wyraźnie po minach księcia Ponurego i hrabiego Kaczora. Róża dyskretnie zerkała w bok i z niedowierzaniem przyglądała się ilości gęsich ud, jakie panowie nabierali na swe talerze.

- O strawę walczyć trzeba jak na wojnie - mlasnęła hrabia.

- A byłeś wać na wojnie? - spytał Zbyszko.

- Lepiej chochlą wojować niż mieczem - dodał książę.

- Jeśli od zupy losy się ważą, to muszę się zgodzić - odrzekł kąśliwie koniuszy, na co roześmiała się Róża.

Ucztovanie rozpoczęło przy dźwiękach muzyki. Niestety jej przyjemne brzmienie zakłócały ciągłe przechwałki hrabiego Kaczora i księcia Ponurego. Każdy obnosił się swoimi błahymi wyczynami i przekonywał Różę o swojej wyższości. Zgoła śmieszne opowiadki przerywane były zachwytem nad wyśmienitym jadłem i odgłosami stukających kielichów. Najdziwniejszym zaś widokiem był moment wniesienia na stół pieczonego prosięcia, nad którym obaj panowie zawiśli jak sępy nad ofiarą bezkresnej pustyni.

- Szlachetny tucznik! - wykrzyknął z zachwytem hrabia Kaczor.

- Iście królewskie danie - wtórował książę.

- Waćpanna raczy wiedzieć, iż przy mnie jadać będzie co dzień takie frykasy - zwrócił się do Róży hrabia.

- A u mnie we dworze jakich uciech by waćpanna doświadczała - wtrącił książe.

- Nim jednak dokonasz pani wyboru, posilmy się tym jakże apetycznie wyglądającym prosięciem - dodał hrabia, przerywając wszelkie rozważania i sięgając po najlepszy kawałek wykwintnego dania.

- Hola hola, to frykando to nie dla hrabiego Kaczora!

- Nie unoś się waść, bo będzie z księciem jak z tym prosięciem!

Róża z niesmakiem przyglądała się słownej potyczce mizerynych kandydatów na męża, nie mogąc pojąć, że kawałek świńskiego zada może być przyczyną sporu między tytułowanymi panami.

W tej oto chwili ojciec dziewczyny wstał, chwycił kielich i wznosił toast za wszystkich, dzięki którym można było tego wieczora świętować wolność umiłowanego kraju. Podszedł do Zbyszka i wręczając mu tytuł szlachecki, zapewnił o wdzięczności, jaką będzie darzył młodzieńca do końca swoich dni. Biesiadnikom opowiedział o wielkiej odwadze i mądrości kawalera, jakiej pozazdrościć mogło mu wielu. Na koniec chwycił dłoń Zbyszka i spojrzał na córkę.

- Wolą moją jest, by zaślubiony tobie został ten oto młodzieniec - wypowiedział te słowa tak dostojnie, że wśród gości zapanowała absolutna cisza.

Róża spojrzała na ojca, a jej szafirowe oczy wypełniły się łzami. Nie mogła wydusić ni słowa. Czuła jak serce wyrywa się spod muślinowych falban, a skroń oblewają zimne poty. Zbyszko onieśmielony prośbą zastygł w bezruchu. Patrzył na Różę z takim uczuciem, że dziewczynie zaczynało brakować tchu.

- Córo, czy rozpocznesz poloneza z przyszłym mężem?

Róża padła w ramiona ojca i wyszeptwała:

- Większej radości spodziewać się dziś nie mogłam! Tak drżałam, że będę zmuszona spędzić resztę mego życia z którymś z tych nieudaczników o nadmiernie rozwiniętym apetycie.

- Jak widzisz, moja droga, dla tych grubiańskich gagatków od twej ręki ważniejsze podgardle i golonka - roześmiał się ojciec.

Puzonista zajął w instrument, dając znak do rozpoczęcia pierwszego tańca. Koniuszy skłonił się i poprosił pannę o towarzyszenie mu w piasach. Róża skinęła delikatnie, by nie dać po sobie poznać jak wielką przyjemność sprawiła jej ta chwila. Płynęli w tańcu niczym muzy po tafli jeziora. Patrzyli sobie głęboko w oczy. Świat dla nich przestał istnieć. Byli tylko oni i uczucie, które stawało się mocniejsze z każdą chwilą.

- Czy uczynisz mi ten zaszczyt pani i zostaniesz moją żoną? - szepnęła koniuszy.

Róża przymknęła powieki, spod których wypłynął strumyk błękitnych łez.

- Do dzisiejszego wieczora nie przypuszczałabym, że tak mnie uraduje pańska propozycja - odpowiedziała wzruszona dziewczyna.

- Zatem szczęście ogromne przepełnia mą duszę - rzekł z uśmiechem Zbyszko - to zaszczyt mieć tak piękną żonę o tak wytwornych i zgrabnych ruchach w tańcu, mimo iż poranek na to nie wskazywał.

Roześmiali się oboje. Róża miała na końcu języka kąśliwą ripostę, lecz w tym momencie z końca sali dobiegł krzyk ciotki Mirosławy:

- Chart zacyganił prosiaka!

Książę i hrabia zaprzestali przekomarzania i z nietęgimi minami spojrzeli na pustą tacę. W zachwycie nad sobą nie zauważyli znikającego mięsiwa. Pogrążeni w otchłani rozpaczy smutnymi oczętami przyglądali się złodziejaskowi, który włókł swą zdobycz po ogrodowych ścieżkach. Z zadowolonego pyska charta wystawała jedna z rapetek, a świński ogonek wił się w trawie jak zwinny wąż.

Rozbawieni biesiadnicy oklaskiwali widowisko, jednocześnie z politowaniem patrząc na bliskich płaczu hrabiego Kaczora i księcia Ponurego. Róża ze Zbyskiem ruszyli za psiskiem. Ojciec z plebanem pocieszali niedoszłych mężów. Książę Ponury - ponuro przechylając kielich z miodem - załkał:

- Ni jadła, ni żony...

Ciotka Mirosława słysząc te żale stanęła na stopniu i krzyknęła z humorem:

*- Toż książę i hrabia choć tytuły mają,
to prawdy życiowej - tak prostej - nie znają?
A prawda od wieków jasna jest i czysta,
gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta!*



Maria Szade, 13 lat

Godło: Makua, Jaworze

WYRÓŻNIENIE PROZA MŁODZIEŻ

Pułapka czasu

Moje imię brzmi Tomasz (albo Tomek). W chwili, kiedy to piszę, mam 13 lat, mamę Judytę, tatę Zdzisława, młodszego brata Mietka i psa. A piszę dlatego, że przydarzyło mi się coś naprawdę dziwnego i emocjonującego zarazem, że aż trudno w to uwierzyć. Zainteresowany? Super!

Zaczęło się od tego, że moi rodzice dostali zaproszenie od kolegów archeologów na wyprawę do Egiptu, w poszukiwaniu śladów po starożytnej cywilizacji. Moich rodziców też kręca stare wazy, kości, mumie itp., więc zgodzili się z wielką chęcią. Spakowaliśmy walizki, odwieźliśmy psa Krakera do dziadków i pojechaliśmy na lotnisko. Na miejscu czekali już pozostali uczestnicy wyprawy. Pan Władysław, najbliższy przyjaciel taty, przywiózł ze sobą syna Piotrka. Cały lot przegadaliśmy razem. Gdy dolecieliśmy na miejsce, zamówiliśmy przewodnika i wyruszyliśmy na pustynię. Naszym celem było stanowisko archeologiczne w Beni Hassan. Stała tam okropnie stara świątynia równie starego egipskiego boga - Seta.

Bardzo się jarałem tą całą ekspedycją. Wyobrażałem sobie, jak zupełnie niespodziewanie znajduję jakiś egipski skarb, na przykład złoty naszyjnik sprzed tysięcy lat. Piotrek podzielał mój entuzjazm, więc kiedy wreszcie dotarliśmy do świątyni, o mało nie eksplodowaliśmy z tych emocji. Rodzice – moi i Piotrka – pozwolili nam kopać w zasięgu wzroku i zabrali się do rozpakowywania rzeczy oraz sprzątania na stanowisku. Pożyczyli nam nawet torbę pełną narzędzi!

Po godzinie żmudnego przeszukiwania piasku i gruzów entuzjazm Piotrka nieco osłabł. Powiedział, że zrobiło mu się zbyt gorąco i idzie się czegoś napić oraz odpocząć. Szczerze mówiąc, mnie też było okropnie słabo. Słońce raziło po oczach, powietrze było duszne i zdawało się falować. Już miałem pójść za nim, gdy nagle w oddali zauważyłem rożek czegoś błyszczącego, wystającego spomiędzy kamieni. Podeszedłem i wyciągnąłem tę tajemniczą rzecz. Była to mała, lekko wyszczerbiona, poślacana tabliczka. Gdy otrząsałem ją dokładniej, moim oczom ukazał się dziwaczny, nieco zatarty rysunek. Przedstawiał zwierzę, przypominające nieco antylopę i kojota zmiksowane w jedno. Stwór

zdawał się spoglądać na mnie, łypiąc czerwonym okiem. Naprawdę, zdawało mi się, że mrugnął! Myślałem, że mam jakieś omamy, zbliżyłem więc twarz do rysunku, chcąc się upewnić, że tylko mi się to zdawało.

Ku moim zdumieniu, zwierzę wyszczerzyło zęby i kłapnęło paszczą. Krzyknąłem ze strachu i wypuściłem tabliczkę z rąk. W miejscu, w którym upadła, piasek zaczął się gwałtownie zapadać i utworzył wirujący lej, który wciągnął mnie do swojego wnętrza. Chciałem krzyknąć, ale garść piaskowych grudek wystrzeliła w moją stronę, wpadając prosto do gardła i zacząłem się krtusić. Nagle wszystko ustało tak gwałtownie, jak się zaczęło. Otaczały mnie wyłupane w piaskowej skale domy i rosnące w dużych odstępach palmy. Przedemną leżała pechowa tabliczka.

„Gdzie ja jestem?” – pomyślałem.

Nagle zza rogu wyłoniła się opalona twarz małej dziewczynki. Otworzyła szeroko oczy.

– Hej? Dziewczynko?! Tam za rogiem! Możesz mi powiedzieć, co to za miejsce?!

Dziewczynka wydała z siebie krótki pisk i uciekła w zaułek. Pobiegłem za nią, ale po krótkim czasie udało jej się mnie zgubić. Wszystkie domy wyglądały podobnie, co drugi zaułek niespodziewanie się kończył. A chciałem ją tylko o coś zapytać! Nagle zdałem sobie sprawę, że okropnie chce mi się pić. Zacząłem więc kluczyć uliczkami w poszukiwaniu wody. Czułem się jak w labiryncie. Nagle zauważyłem kota o sierści w kolorze piasku, w dodatku ze skarabeuszem ze złota na głowie, przebiegającego przed moim nosem. Pobiegłem za nim.

Kot poprowadził mnie uliczkami aż do wielkiego i potężnego budynku, całego w malowidłach i z wyrzeźbionymi posągami po bokach, służącymi za kolumny. Zwierzak pobiegł w jego kierunku i skrył się za jedną z wyrzeźbionych w kamieniu postaci. Przyspieszyłem i biegnąc sprintem, ganiałem za nim po całym budynku. Zaczynałem podejrzewać, że znajduję się w tej samej świątyni, którą przeszukują moi rodzice i ich przyjaciele.

W pewnym momencie prawie udało mi się złapać kota za ogon, gdy wtem ni stąd, ni zowąd, pod moją stopą wyrósł jakiś kamień. W świątyni! Potknąłem się i na główkę poleciałem do przodu. Jak na złość, pode mną były strome schody prowadzące w dół i znikające gdzieś w ciemności. Stoczyłem się po nich, co chwilę wydając z siebie stłumiony jęk, za każdym razem, gdy mocno się uderzałem. Starłem się wyhamować, ale fizyka zwyciężyła. W końcu – posiniaczony i zażenowany – wylądowałem na zakurzonej ziemi. Wstałem, rozmasowując bolące miejsca i rozglądałem się na boki. Znalazłem się w korytarzu oświetlonym jedynie małą pochodnią. Cały był pokryty roz-

maitymi hieroglifami, jak świątynia, w której znalazłem się wcześniej. Usłyszałem szelest. Zza rogu wyszedł znajomy kot, zamiatając ogonem o kamienną podłogę.

- Czyżbyś nie wiedział, że koty są święte i nie należy ich gonić, a tym bardziej ciągnąć za ogony? - odezwał się, śmiesznie wykrzywiając przy tym pyszczek.

- Przepraszam... - powiedziałem, bo dzisiaj zdarzyło mi się tyle dziwnych rzeczy, że gadający kot wcale mnie nie zdziwił.

- Nie martw się, zdążyłeś mi to już wynagrodzić. Strasznie śmiesznie wyglądałeś, wiesz? Stanowczo brakuje ci gracji. Znam się na tym, w końcu jestem kotem.

Zarumieniłem się. Kot przyjrzał mi się uważnie.

- Coś mi się wydaje, że nie jesteś stąd. Nigdy nie widziałam rumieniącego się Egipcjanina. Chodź, usiądźmy a ty opowiesz mi wszystko od początku. Aha, zapomniałam ci się przedstawić. Jestem Bastet.

„Prędej Pasztet” pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno. Oparłem się plecami o ścianę, razem z Bastet-Pasztet siedzącą obok mnie i opowiedziałem wszystko, co mi się przydarzyło, od momentu, kiedy dostaliśmy zaproszenie na ekspedycję. Kiedy doszedłem do fragmentu o tabliczce, Bastet-Pasztet zerwała się nagle i niemal wykrzyknęła:

- Masz jeszcze tę tabliczkę?

Skinąłem głową i wyciągnąłem przedmiot, który wcześniej schowałem w torbie z narzędziami (torba teleportowała się razem ze mną).

- W takim razie jeszcze nie wszystko stracone! - mruknęła Pasztet wyraźnie podekscytowana. - Udamy się do Ozyrysa i innych bogów, a oni odeślą cię do twojego wymiaru.

- Dzięki tej małej tabliczce? - spytałem, z niedowierzaniem patrząc na pechową rzecz, trzymaną w dłoni.

- To jedna z pułapek wrednego Seta - objaśniła kotka - lubi zabawiać się ze śmiertelnikami w taki sposób. Skrycie ma nadzieję, że artefakty, które przetrwają lata, pomogą mu przenieść się do innych wymiarów, żeby mógł tam dokonać masowego zniszczenia wszystkiego, co tylko mu się podoba. Typowa rozrywka boga, kochającego chaos.

Pasztet wzruszyła ramionami.

- To zwierzę, które tu widzisz - wskazała pazurem rysunek na tabliczce - to jego zwierzę-symbol, Tyfona. Ale koniec tych pogaduszek, bo jakbyś nie wiedział, mamy ograniczony czas...

Nagle poczułem się okropnie słabo i przewróciłem się. Popatrzyłem na stopy. Koniuszki moich palców lśniły w blasku pochodni. Wyglądały, jakby

były pokryte piaskiem... POPRAWKA: TO BYŁ PIASEK. Wtem w korytarzu rozległ się straszny śmiech, przypominający chichot hieny.

- Aha! - Bastet nadstawiła uszu - Set już wie, że ktoś złapał się w jego pułapkę. Teraz będzie się z nami bawił w kotka i myszkę.

- Hej, mówiłaś coś o ograniczonym czasie, pamiętasz? - powiedziałem, nadal z niedowierzaniem gapiąc się na czubki palców.

- Owszem, mamy jeszcze kilka godzin, do późnego rana. Obawiam się, że jeśli nie zdążymy na czas, nigdy nie wrócisz do swojego wymiaru.

- No to się spieszymy! - wykrzyknąłem, lekko zdenerwowany tym zwlekaniem. Wstałem. Naprawdę dziwnie było czuć się piaskiem. Puściliśmy się biegiem.

Set najwyraźniej BARDZO nie chciał, abyśmy dotarli na miejsce o czasie. Za każdym zakrętem czaiły się jadowite węże, zapadnie, strzały żyjące własnym życiem i inne paskudztwa. Jakimś cudem ze wszystkich pułapek wyszliśmy cało. Kiedy piasek dosięgnął już mojej klatki piersiowej, dotarliśmy do „komnat królewskich”, jak określiła to Bastet-Pasztet.

- Kto tak jęczy? - spytałem, usłyszawszy hałas dobiegający gdzieś zza ściany korytarza.

- Ach, to tylko Nut rodzi słońce - powiedziała lekceważąco kocica, najwyraźniej zajęta wylizywaniem sobie łapek - Jak tylko skończę się myć, ruszemy dalej. Ozyrys czeka!

Nut rodzi słońce? Znaczy że już rano... Ruszyliśmy naprzód. Nie napotkaliśmy żadnych pułapek. Bastet-Pasztet cały czas trajkotała jak najęta, nie pozwalając mi dojść do słowa ani na moment. W końcu stanęliśmy przed wielkimi, złożonymi drzwiami.

- Teraz uważaj - powiedziała kotka - bo muszę przyjąć swoją prawdziwą postać. To może wywołać u ciebie lekki szok.

W tej chwili Bastet zaczęła rosnać, sierść jej powypadała, aż w końcu przede mną stała wysoka kobieta z głową znanego mi kota. Tyle, że cztery razy większą. Przyznaję, szczęka mi opadła. Poza tym myślałem, że będzie nieco pulchniejsza.

Weszliśmy do komnaty. Przed nami wprost roilo się od bogów. Duzi i mali, chudzi i grubi, a wszyscy bardzo dziwni. Znaleźliśmy się w środku. Kłaniałem się każdemu bogowi, jakiego spotkaliśmy. Ci odwracali głowy i patrzyli na mnie z rozbawieniem. Pewnie dlatego, że jedyną częścią ciała niepokrytą piaskiem była moja głowa. Reszta była taka trochę bezkształtna i rozlana.

Ozyrysa nietrudno było znaleźć. Siedział na połączanym tronie i siorbał jakiś napój z ceramicznego kubka. Widać było, że lubił make-up. Wszystko mu wytłumaczyliśmy i na dowód pokazaliśmy tabliczkę. To znaczy Pasztet pokazała, bo mi wszystko przelatywało przez ręce.

- Hmm... - zamruczał Ozyrys, po czym powiedział:

- Pomożemy ci wrócić do twojego czasu.

Wszyscy bogowie jak na komendę utworzyli wokół mnie okrąg. Bastet uściśnęła mi rękę na pożegnanie i przyłączyła się do innych. Zgodnie z instrukcją Ozyrysa, usiadłem (a raczej rozlałem się) na ziemi i mocno chwyciłem tabliczkę... zębami. Nagle drzwi do komnaty otworzyły się i wparował przez nie najstraszniejszy bóg, jakiego w życiu widziałem. Od nóg do szyi prezentował się raczej normalnie (czyli jak wysoki, opalony kulturysta z białą kcieką przewiazaną w pasie), ale za to jego głowa wyglądała jak krzyżówka głowy szakala, antylopy i okapi, a to wszystko smoliście czarne. Po prostu demon! Wzrok Seta zatrzymał się na mnie. Na jego twarzy pojawił się grymas, który najwyraźniej miał być szyderyczym uśmiechem. W tej samej chwili kurz i pył zawirował wokół mnie, tworząc istny huragan. Bogowie zaczęli działać. Ostatnimi rzeczami, jakie widziałem, zanim zapadłem się w tunel światła pełen barw i dźwięków, byli machający na pożegnanie bogowie, uśmiechnięty Ozyrys i udający obrażonego Set, wywalający do mnie ten swój wielki, czerwony i ohydny jęzor.

- Toomeek! Tomek! Obiad! Zrób sobie chwilę przerwy od szukania i chodź do nas!

Otworzyłem oczy. Znajdowałem się dokładnie w tym samym miejscu, w którym znalazłem tabliczkę. Nadal miałem ją w zębach. Wyplułem ten przedmiot, pozbyłem się go. Po raz ostatni popatrzyłem na wyszczerzoną Tyfonę, po czym wzięłem potężny zamach i cisnąłem tabliczką daleko w stronę pustkowie, aż w końcu odbiła się od jakiegoś sporego kamienia i wpadła w szczelinę między skałami. Lepiej żeby nikt nie dowiedział się o tym przedmiocie. Odetchnąłem z ulgą i puściłem się biegiem w stronę namiotu, i jedyne o czym myślałem, to to, że zapomniałem wziąć ze sobą torby na narzędzia. Dziś na obiad był chłodnik, a na deser lody Big Milk (Mietek cały się pociapał, a Piotrek udawał Mikołaja w środku lata). Mniam.

Koniec

(przynajmniej taką mam nadzieję)

EPILOG

Bastet, zamiatając niepewnie ogonem, podeszła tuż pod tron. Nie bała się Ozyrysa (od lat byli przecież dobrymi przyjaciółmi), ale odkąd odesłali ostatniego z sprowadzonych przez Seta śmiertelników, poczuła, że coś się zmieniło. Wcześniej Set był raczej typem nieokrzesanego imprezowicza i jeżeli tylko nadarzyła się okazja, żeby coś zniszczyć, pojawiał się on w mgnieniu oka. Teraz nikt nie widywał go prawie w ogóle. Co prawda nikomu to nie przeszkadzało, ba, cieszyli się nawet, że zniknął. Kto by się nie cieszył? Bastet zauważyła jednak, że gdy Set po odstawieniu typowego teatrzyku (raaarhh, znowu zabraliście mi moją nowiutką zabawkę, bum-trzask-bum, kolumna w drobny mak) wychodził z komnaty, na jego włochatej gębie pojawił się szczery, pełen satysfakcji uśmiech. Kocica od dawna wiedziała, że dzikus potwornie pragnął wydostać się poza pętlę czasową, w której utknęli wszyscy egipscy bogowie, ale przewyższało to wszystkie jego umiejętności razem wzięte. Z drugiej strony... jak potężny może być sam Chaos? Bastet postanowiła zwierzyć się Ozyrysowi.

- Co tam, kiciu? Chcesz o czymś pogadać? OKROPNIE mi się nudzi, wiesz?
- stwierdził Ozyrys, rozlewając się na tronie. - Byłbym więc niezwykle usatysfakcjonowany, gdybyś jeszcze raz pokazała mi, jak pijesz coś tym swoim malutkim, maciupęńkim języczkiem! Przecież wiesz, jak mnie to zawsze rozśmiesza! Proszę, zrób to dla mnie!

Bastet wywróciła oczami, ale posłusznie wzięła kubek i wypła odrobinę. Ozyrys zaczął się tak chichrać, że o mało nie ześlizgnął się z tronu. Bastet też mimowolnie się uśmiechnęła. Jak zawsze zresztą. Po chwili jednak Ozyrys spoważniał, usadowił się jak należy, poprawił makijaż i gestem nakazał Bastet, aby zaczęła mówić. Jednak prawie natychmiast ją uciszył.

- Przepraszam, kiciu, ale nie możemy na ten temat rozmawiać tak po prostu. Nie tylko ty to zauważyłaś, wiedzą o tym już wszyscy. Chociaż niektórych wcale to nie obchodzi. Na przykład Nut, a zapewne jak wiesz, jedyne co ją interesuje, to w kółko rodzenie i połykanie swojego dziecka. Set planuje coś znacznie większego i wcale mi się to nie podoba. Jak na razie tylko go obserwuję. Ale nie martw się, w razie czego wejdę do akcji.

Przesunął nieco koronę na głowie.

Uspokojona Bastet skinęła mu głową na pożegnanie. Już zbierała się do wyjścia, gdy nagle przypomniało jej się coś jeszcze.

- Ej... A tak właściwie, co to jest pasztet?

Zofia Maruszewska, 16 lat

Godło: Pszczółka, Gliwice

WYRÓŻNIENIE PROZA MŁODZIEŻ

Córuś

Niczym Archimedes z Syrakuz, który wybiegłszy nagi na ulicę z okrzykiem „Eureka!” ogłosił światu odkrycie prawa Archimedesa, rzuciłem się na drzwi, otwierając je samym mym ciężarem, popędziłem przez korytarz i bez pukania wtaranabiłem się do pokoju Izy.

- Córuś! Znalazłem! - Iza uniosła wzrok znad książki, patrząc na mnie jak na wariata.

- Fajnie - rzuciła z przekąsem i wróciła do książki.

- Wstawaj, zobaczymy, czy działa - zaciągnąłem ją przez korytarz przed moją pracownię. Zamknąłem przed nami drzwi i odwróciłem się do Izy - Co teraz czujesz?

- Zmęczenie? Znudzenie, trochę strach, przed tym czymś, co masz mi zaraz pokazać.

- Świetnie - z uśmiechem otworzyłem znów drzwi do pracowni i wkroczyliśmy, ja dumnie jak gwardzista podczas parady wojskowej, ona zmęczona niczym kot, który wciąż od ciebie ucieka, gdy chcesz go sobie położyć na kolanach. Przeszliśmy dwa kroki do przodu, nieco bliżej glinianej rzeźby pawia stroszącego pióra. - Jak teraz?

- Nie wiem - westchnęła, zapewne zmęczona wymysłami ojca-emeryta.

- To podejdź bliżej - podeszła - i jak?

- No tak jakby, bardziej skupiona? Chociaż może próbuję wymyślić, czego ode mnie chcesz?

- Bardziej skupiona, tak?

- Tak?

- Pięknie. Pięknie, pięknie, pięknie, córuś! - uściskałem ją, aż zabrakło nam obu tchu - Córuś! Wiesz co najlepszego twój tatuś właśnie zrobił?

- Do reszty oszalał?

- Stworzył rzeźbę przywołującą emocję! Ten paw przystojniaczek wzmoże u każdego w pobliżu skupienie, no pomyśl tylko, jakie by to mogło korzyści przynieść!

- Dzieci z zaburzeniami uwagi, uczniowie piszący egzaminy, inżynierowie...

- Iza potarła palcem pod dolną wargą w geście zamyślenia. - Nie mniej, jest to

rewolucja, jeśli chodzi o zarówno sztukę, jak i naukę.

- Jakaż znowu nauka, jak ja nic takiego nie zrobiłem! Jak już, to pozwoli innym przeprowadzić własną rewolucję! Pomyśl, jak poprawią się wyniki egzaminów z przedmiotów ścisłych, jak to się przyda na konferencjach prasowych!

- Przyda się, przyda.

I choć nie powiedziała mi tego od razu, dopiero po tym, jak rzeźbę elegancko spakowaliśmy i wysłaliśmy do miejscowego senatora imieniem Godunow wraz z listem, to Iza była ze mnie dumna. Dumna, że wreszcie zrobiłem coś, czym mógłbym się przyczynić do większego dobra. A ja byłem dumny, że wreszcie mogłem zrobić coś dla niej.

*Szanowny Panie Fliehmann,
w imieniu senatora Iwana Godunowa chcielibyśmy Panu bardzo podziękować za niezwykle szczodry prezent w postaci Pańskiej rzeźby....*

*Szanowny Panie Fliehmann,
w związku z furorą internetową, jaką wywołała Pańska rzeźba, przenieśliśmy Pańską rzeźbę z Sali Obrad do holu, gdzie rzeźba będzie mogła być podziwiana przez zwiedzających budynek Senatu. Zwracamy się także do Pana z prośbą o wykonanie podobnej rzeźby, w dowolnej postaci, możliwie wywołującej uczucie zachwytu...*

- No nie wiem, córuś... Wygląda to jakoś?

- Ty na serio? To wygląda świetnie! Nawet bez tego wpływu na emocje każdy byłby zachwycony, patrząc na tę rzeźbę! - nie odrywając wzroku od pracy, okrążała ją. Masywna, przedstawiająca delfina wyskakującego z wody, otoczonego morską pianą - Wygląda jak Arielka, no wiesz, w momencie, gdy śpiewa o byciu częścią tamtego, ludzkiego świata.

- No wiem, który moment, oglądaliśmy ten film z milion razy - odetchnąłem i spojrzałem na córkę, na zachwyty błyskający w jej oczach. - Narażam się tym na szwank, ale niech ci będzie... Wyślę im to.

- Nie wiem, o jaki szwank Ci chodzi, Tato. Jesteś niesamowity.

Uśmiechnąłem się, a ona uśmiech odwzajemniła. Wyciągnąłem z pudła folię bąbelkową.

Dwa tygodnie po otrzymaniu zapłaty za rzeźbę delfina otrzymałem list od właściciela chińskiego domu aukcyjnego. Pana Chena urzekły moje rzeźby i chciałyby wystawić jedną z nich na aukcji. Zapragnął sobie rzeźby królika,

w końcu według chińskiego kalendarza jest teraz rok królika. Uczucie, które miała przywoływać rzeźba, mogłem sobie wybrać. Odpisałem prędko, może zbyt pochopnie akceptując kolejne zamówienie, a po krótkiej medytacji nad uczuciem, które chciałem przywołać, wziąłem się do roboty. Rzeźba podlegałaby opinii innej publiczności niż poprzednie dwie. Wyciągnąłem szkicownik, który kupiłem zaraz po wypłacie. Zapełniłem jego pierwszą stronę konotacjami wyrazu *królik*.

- Jest dość... Nietuzinkowy – oceniła Iza, patrząc z góry na rzeźbę.

- Tak sądzisz? – pochyliłem się do przodu, przyglądając się uważniej. Pociągnięcia pędzla na powierzchni były trochę niestabilne, niechlujne, lecz nic już nie mogłem zrobić. – A co czujesz?

- Zdziwienie, szok. Dlaczego ten królik ma na futrze czerwone esy-floresy? To jego krew czy może tatuaż? Czy wolno królikom mieć tatuaże? Jeśli tak, to czemu one mogą, a ja nie?

- Dopóki mieszkasz pod moim dachem, to żadnych tatuaży mieć nie będziesz – prychnąłem.

- Nawet dwa tygodnie nie masz tego mieszkania, a już mówisz o „twoim dachu”. Do niedawna nawet nie było nasze, tylko wynajmowane.

- Wiem, córuś, wiem – w mojej piersi zaiskrzył się wtedy promyk nadziei – Ale wreszcie zaczynają kupować moje rzeźby. Tylko potrzebowałem tej rewolucji, wiesz? Teraz ludzie z prawdziwym potencjałem zaczynają kupować moje prace, które pomogą im działać ku dobru ogółu, pomagać innym... W tym nam.

Cisza. Zauważyłem, że zaskoczyły ją moje słowa. Myślała chwilę i myślałem ja. Czy jej zdumienie było szczerze, czy ucichnie w momencie wpakowania rzeźby do kartonu?

- Tato... - zaczęła, ostrożnie dobierając słowa. - A co, gdy umrzesz? Kto cię zastąpi?

- Jeśli chcesz, żebym cię nauczył rzeźbić, trzeba tylko poprosić – żartobliwie przełamuję odpowiedź, która jest nieco zbyt ciężka na tu i teraz. – Córuś, sztuka nie umiera. Nawet gdy będę już dwa metry pod ziemią, moje rzeźby dalej będą stały w holu Sejmu, w prywatnych kolekcjach, w muzeach... Pozostaną żywe w pamięci tych, którym było dane ich doświadczyć, poznać moje rzeźby. A wraz z nimi pozostanę ja.

- Non omnis mori?

- Non omnis moriar. Zawsze będę tu z Tobą.

- Naprawdę, nie wiem, po co nadal sobie tym ścierwem głowę zawracasz!
- skrzynka pełna przyborów runęła z głośnym hukiem na podłogę – No

patrz na to, co to ma być? Dumny wierzchowiec czy osioł kaleka? Widziałam stabilniejsze konie za ladą u rzeźnika!

- Dobrze, córuś, spokojnie – rozsunąłem zasłonę, próbując przykryć rzeźbę, lecz ta była zwyczajnie za duża. Wymyśl szwajcarskiego milionera, by mieć w salonie ogromną replikę konia Napoleona wywołującą u gości zazdrość.

- Taa... Przykryj tego wieprza, wtedy nie musielibyśmy na niego patrzeć! On mi oczy psuje!

- To Ci, córuś, okulary załatwię!

- Nie o okulary chodzi, ale o twoją domniemaną sztukę! Już bym chętniej zwiedzała stajnie Augiasza niż muzeum z twoimi pracami!

- Córuś, jak Cię nauczę rzeźbić jak ja, to pomożesz mi tego konia spakować i wysłać?

Sekunda ciszy, zachwianie. Po czym kolejny wybuch.

- Wolałabym połknąć pudło gwoździ do betonu!

Trzask drzwi. Konia musiałem zapakować sam.

Podciągnąłem nogi pod siebie i przykryłem się kocem. Kominek trzaskał, a gramofon, o którym zawsze marzyłem, kołł mnie przyjemną melodią Maurice'a Ravela. Wpatrując się w płomień, wdychałem z koca zapach Izy. Jej rzeczy powoli wietrzały, traciły resztki nadziei na jej powrót. Ale ja nie. Nie szczeniłem sobie uwag pod własnym adresem, *jak śmiesz przywłaszczać sobie jej rzeczy, na które tak ciężko pracowała, które tyle dla niej znaczyły, a nawet nie potrafiłeś się z miejsca ruszyć, pobiec za nią, gdy wybiegła z domu.* Nic to nie da, byłem za stary na tułaczkę po świecie w poszukiwaniu córki, która już dawno powinna była zacząć żyć własnym życiem, a nie tylko asystować zdziadziałemu ojcu. Przecież wiem, że miała rację, uciekając. A fakt, że zrobiła to z odpowiednim dla siebie wdziękiem – w sumie ja też nie jestem idealny.

Sięgnąłem po kopertę leżącą na stoliku między mną a kominkiem. Oferta od amerykańskiego przedsiębiorcy. Otrzymywałbym stałą, tygodniową zapłatę za pokazywanie się na różnego rodzaju pokazach i zjazdach, zakładając, że stworzyłbym chociaż jedną rzeźbę na kwartał. Rzeźby, jak i wizerunek mojej osoby, stałyby się własnością przedsiębiorcy.

Jedna rzeźba na kwartał. Czy stać mnie na aż tyle? Rzędy starych rzeźb piętrzą się w mojej pracowni, nikt ich nie chce – czy one już nic nie znaczą? Czy straciły na znaczeniu, jeśli jakiegokolwiek kiedykolwiek im przyznano? Wziąłbym jedną do ręki, obróciłbym ją. Pamiętam każdą jej wadę, każde zagięcie. Pamiętam, że stworzywszy te rzeźby, czułem się jak władca świata. Jak dumny ojciec oprawia w ramkę świadectwo szkolne dziecka, tak ja

stawiałem moje rzeźby na półce regału, wśród wielu innych. Wtedy byłem Bogiem - wszechmocnym stwórcą, patrzącym z zachwytem na swoje dzieło, stworzone z czystej miłości. Byłem Bogiem, a teraz nawet nie mogłem być dobrym ojcem ani dobrym artystą, traciłem powoli zapał.

List chwiały się w moich rękach, przez chwilę wydawało mi się nawet, że podmuch kominka przyciąga go do siebie. Mój odruch zamierał, podobnie jak emocje, które kiedyś darowałem moim rzeźbom. Z każdą rzeźbą czułem się coraz bardziej wycieńczony, jakbym w glinie zostawił kawałek siebie, jakiś organ niezbędny do życia.

Wyciągnąłem pióro i czysty papier – nie miałem siły, by siadać przed maszyną – po czym zacząłem pisać odpowiedź.

Trafiłem na przyjęcie. Zmarnowany i wycieńczony, biletem wstępu była produkcja rzeźby za rzeźbą – a to dla znajomego filantropa, a to dla pułkownika. Deprecjonując własną sztukę na zamówienie, tracąc siebie, przyjęto mnie do grona najlepszych wśród najlepszych. Przy stole wśród milionerów, ikon i żywych bogów byłem ja. Nie miałem już serca, które mogłem oddać swojej pracy, wszelkie emocje i wszelką prywatność zagrabili mi w zamian za czek. Gdyby ktoś mi zrobił audyt, znalazłby jedynie fortunę zamkniętą w skrzyni – oczekującą powrotu Izy. Już przestałem wierzyć, że kiedykolwiek wróci, ale cóż innego mam zrobić jako stary artysta, któremu wartość przypisano dopiero wtedy, gdy zaczął sprzedawać część siebie? Wznosimy toast ku nam samym, jako pyszni artyści, głodni uwagi od tłumu, czekający, aż ten nas uzna – a co dokładnie sprawia, że dzieła A są warte uwagi, a B już nie? Kim byłem przed moją rewolucją i dlaczego nie doceniano tamtego mnie? Gdybym zmarł wtedy z głodu, byłaby to tragedia czy codzienność? Z każdym dziełem oddaję część siebie światu, lecz dla mnie samego nie zostało już nic. Obok mnie siedzi minister czegoś ważnego, nie wiem. Prosi o rzeźbę dla syna. Mówię, że jasne.

Wracam do domu. Siadam w pracowni. Wyciągam szkicownik – ten co przyniósł mi sławę, a teraz zwiastuje upadek – i projektuję kolejną ambiwalentną strukturę. Łamię własny paradygmat, nie zważając na emocje, zresztą one mną już nie władają. Nie czułem nic, nadając kształt masie gliny, która już nie podzielała mojego ciepła. Także wydawała się zmęczona byciem maltretowaną, wykorzystywaną jako produkt, a nie ekspresja, wyraz miłości. Gdy po godzinach bezcelowego gniewania jej powierzchnia wreszcie przybrała temperaturę moich dłoni, zapadłem się – i utopiłem się w jej objęciach.

Tęskniłem za córką, za naszymi wynajmowanymi dwoma pokojami, za czytaniem jej bajek. Tęskniłem za sztuką, która rzeczywiście coś wyrażała,

tęskniłem za miłością do niej. Ciepło zaczęło mnie otaczać, tak jak ja otaczałem Izę kołdrą, gdy była mała. Poczułem się nieco bardziej kompletny. Gdyby tylko Iza mogła zobaczyć, ile ja dobrego zrobiłem! Ilu ludziom pomogłem! Zatapiałem się w rzeźbę, rzeźba zatapiała się we mnie. Była już zimna, może okno się otwarło, nie wiem, nie obchodziło mnie to. Chciałem znaleźć Izę, objąć ją i przeprosić za wszystkie moje fantazje, za wszystkie poświęcenia, które zrobiłem dla siebie, a nie dla niej. Otworzyłem oczy, leniwie, ospale.

Skrzynia z pieniędzmi dla Izy stała tam, gdzie zwykle. Niech stoi. Niech jej nikt nie zabierze, niech jej nikt nie ukradnie. Niech Iza usłyszy o mojej śmierci i przyjdzie tu, pozbierać swoje rzeczy, niech zabierze skrzynię ze sobą, podczas gdy moje stare rzeźby spoglądają na nią z półek. Wszystko, co zrobiłem, jest dla niej. Cała sztuka, przez którą idea mnie będzie żyć wiecznie, jest dla niej. W jej rękach będzie bezpieczna – jako eksponat w muzeum, bądź jako roztrzaskane fragmenty glinianej rzeźby, którą zamiecie pod dywan. Byłe o mnie pamiętała.

Zamknąłem oczy. Córku, proszę, wybacz mi bałagan, jaki po sobie zostawię.



Natalia Maślej, 14 lat

Godło: Onyxia, Nysa

WYRÓŻNIENIE PROZA MŁODZIEŻ

Wiśnie i Katsuhiko

Wiosną wiśnie kwitną tak pięknie. Ich białe kwiaty pną się w górę, aż ku błękitnemu niebu i niewielkim obłokom. Jasnoróżowe plamki zdobią subtelne płatki. Zdawałoby się, że gałęzie powinny uginać się pod ich ciężarem, jednak są lekkie jak westchnienie, jak chwila, jak fala, gdy morze jest spokojne. Zapach kwiatów wypełnia okolicę drzewa. Brązowy pień jest lekko wygięty, a kora chropowata. Katsuhiko spogląda smutnymi, ciemnymi oczyma na wiśnię. Biel kontrastuje z zielenią trawy. Chłopiec wciąga w płuca przyjemną woń. Stoi tak chwilę, nim orientuje się, że nie jest tutaj po to, by podziwiać drzewo. Podąża aleją w kierunku czerwonych budynków.

Świątynia jest skromna i niewielka. Prócz zabudowań dla mnichów oraz głównego budynku są tu tylko wiśnie. Wiśnie oraz Katsuhiko. Panuje cisza. Gdzieś za zabudowaniami przemyka bezszelestnie jeden z kapłanów w karmazynowych szatach. Z kilku kadzideł przed wejściem wydobywa się słodki dym silniejszy od zapachu wiśni. Zgarbiony, szczupły chłopiec kieruje się w stronę głównego wejścia i wspina po kamiennych schodach. Nad framugą wiszą dwie latarnie, zapewne zapalone w nocy.

W świątyni panuje półmrok rozświetlony jedynie kilkoma świecami zapalonymi przez wierzących. Katsuhiko, w nadziei na łaskę bogów, niejeden knot obdarzył ogniem, kiedy jego matka zachorowała. Teraz stoi w ciszy i ciemnościach przed ołtarzem.

Nie modli się długo. Odchodzi już w stronę blasku słońca i białych wiśni, kiedy nagle coś przykuwa jego uwagę. Zatrzymuje się. Pod jedną z drewnianych ścian ustawiono niewielki mebelek z puszką z patyczkami oraz prostokątnymi pudełkami. Chłopiec widział wiele takich miejsc z wróżbami, jednak to jest inne, jakby zapomniane. Katsuhiko wygrzebuje z samego dna kieszeni pieniądze i kładzie na stoliku. Następnie bierze puszkę w dłoń i trzęsie. Z otworu wychyla się drewniany patyczek z numerem piętnaście. Chłopiec pociąga nosem i wyjmuje z pudełka o tym numerze niewielki kawałek papieru. Odłożywszy skrzyneczkę na miejsce, rozwija kartkę.

Czytając sentencję, wychodzi na dwór. Jest ona krótka i zapisana dużymi, czarnymi znakami.

- W wiśniach nasze dusze, życie i śmierć.

Katsuhiko mówi na głos. Odpowiada mu szmer kwiatów na wietrze. Aleją wraca z uśmiechem. Wie, że w wiśniach jest jego matka. A wiśnie są wkoło niego.



Protokół Komisji Konkursowej	4
------------------------------------	---

POEZJA DOROŚLI

Piotr Łaszczycza	9
Mariola Kruszewska	11
Maria Znamierowska	13
Zdzisław Drzewiecki	16
Piotr Zemanek	19
Zbigniew Wróblewski	21
Bożena Kaczorowska	24
Mirosław Puszczkowsky	28
Małgorzata Borzeszkowska	31
Dominika Patrycja Wilk	32
Wojciech Malinowski	34
Daniel Głowacki	35
Natalia Konieczna	36
Małgorzata Kotłowska	38
Donata Witkowska-Kowal	40
Mariusz Jacek Rokita	41
Artur Boratczuk	42

PROZA DOROŚLI

Edyta Wysocka	45
Sylwia Panek	49
Tadeusz Charmuszko	53
Joanna Zając	57
Piotr Kapłon	61
Natalia Rej	63

POEZJA MŁODZIEŻ

Grzegorz Sobkiewicz	71
Jakub Rębisz	75

Anna Oleksiuk.....	81
Karolina Majorowska.....	85

PROZA MŁODZIEŻ

Jakub Krok.....	93
Grzegorz Roda.....	99
Anna Szczepaniak	106
Maria Szade	111
Zofia Maruszewska	117
Natalia Maślej.....	123

